Nr. 23. Poznań, niedziela 7-go czerwca 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“
wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. I r. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

W sprawie stronnictwa demokratycznego.

Myśl rzucona przez feljetonistę naszego w przeszłym numerze „Przeglądu“ znalazła oddźwięk silny w szerokich kołach społeczeństwa. Ze wszystkich stron Księstwa i Prus Zach. odbieramy gorące słowa zachęty, by położyć fundament pod gmach demokratycznego stronnictwa i po dwuletniej krytyce, czyszczącej zatęchłą atmosferę zaboru pruskiego, rozpocząć dzieło społeczno-politycznej reorganizacyi na odmiennych, do nowych warunków życia przystósowanych podstawach. Z listów otrzymanych w tym względzie publikujemy poniżej pismo jednego z poważnych obywateli Księstwa, który już od lat kilku dzwonił na dobrą sprawę, a obecnie wita z uznaniem nasz program, o którego zisz zenie wołał dotychczas napróżno. List brzmi:

Szanowna Redakcyo!

W tej chwili przeczytałem Wasz artykuł o połączeniu wszystkich demokratycznych żywiołów w jedno stronnictwo z jednym programem, jednym zarządem i siecią wykonawczych komitetów lokalnych. Już niejednokrotnie w sprawie tej pukałem do rozmaitych redakcyi i starałem się zainteresować nią szersze koła społeczeństwa, lecz wszędzie odpowiadano mi apatycznem milczeniem lub zdawkowym frazesem, że „projekt jest przedwczesny“, że „sama siła faktów ekonomicznych i politycznych stosunków dokona przeobrażenia społecznego“, że wreszcie „takie rozdwojenie znękanego kraju mogłoby niekorzystnie oddziałać na losy walki śmiertelnej z niemieckim żywiołem“. Tak mówili przed kilku jeszcze laty wielcy i mali, tak mówiły pisma i ludzie. Potem wystąpił ruch ludowy i wstrząsnął do głębi zgangrenowanym organizmem życia naszego, a w krytycznej chwili, wśród zamętu walki, gdy starym zwyczajem starano się się nowe prądy zadusić piętnem zdrady narodowej, a identyfikując interes koteryi „ładu i porządku“ z interesem społeczeństwa, wyzyskiwano w bezprzykładny sposób hasła patryotyczne i uczucia religijne, — w tej chwili wstąpiło na arenę nowe skrzydło demokracyi z pismem waszem na czele.

Praca wasza dotychczas była w pierwszym rzędzie krytyczną. Każda opozycya tak rozpoczyna i tak rozpoczynać musi. Ujawniliście te grube pokłady rdzy, które niszczą cały nasz organizm narodowy, odsłoniliście problematyczną wartość wszystkich doktryn, któremi „ład i porządek“ łudził społeczeństwo, rzuciliście smugę światła w nowoczesne tendencye kościelnej polityki i ukryte dążenia klerykalnego stronnictwa, zdzieraliście sztuczne dekoracye z naszego ubóstwa umysłowego i płaskich ambicyi, — jednem słowem świeciliście latarką Diognesa w wszystkich zakątkach życia, by jako bilans dwuletnich badań postawić fakt stwierdzony tysiącznemi dowodami, że gdzie dotkniesz, próchno się sypie i w proch się wszystko rozpadnie, jeżeli nie nastąpi reorganizacya na nowych podstawach i przypływ sił świeżych, zdrowych, niezużytych.

Rozpoczyna się teraz wasz okres pozytywny, okres niewątpliwie trudniejszy, lecz w skutki obfitszy. Na czele stawiacie budowę stronnictwa, które stać się ma opoką, kierownikiem i systematycznem regulatorem demokratycznego rozwoju. Plan naszkicowany przez feljetonistę waszego jest niewątpliwie doniosłym jako szereg praktycznych wskazówek ku przeprowadzeniu trudnego w naszych warunkach połączenia dwóch skrzydeł demokracyi w jednolitą całość, nie wskazuje jednak ręki, która pierwsza ma położyć cegłę do budowy stronnictwa. Rozumiem zupełnie, że redakcya „Przeglądu“, wypowiedziawszy słowo inicyatywy, nie chce narzucać się na kierownika i organizatora ruchu, — rozumiem także, że mające kurs w społeczeństwie naszem zapatrywanie, jakoby pierwszym obowiązkiem redaktorów polskich było spełnianie praktycznej, politycznej roboty, jest z wielu względów niesłusznem i odbija się w rzeczy samej niekorzystnie na wartości prasy poznańskiej, — rozumiem wreszcie, że sama redakcya „Przeglądu“, zaprzątnięta wyczerpującą lecz widocznym skutkiem nwieńczoną pracą nad udoskonaleniem tego w naszych warunkach niezbędnego organu, nie może rwać się do dzieła, wymagającego wielu starań i zachodów, — i dla tego właśnie ośmielam się uzupełnić artykuł wasz propozycyą, aby na najbliższem zebraniu akcyonaryuszów pisma waszego z łona ich wyszedł komitet organizacyjny. Pierwszy krok zrobić należy natychmiast, a reszta pójdzie łatwiej może, niż przypuszczacie. Dwuletnia praca wasza tak przysposobiła umysły, że to, co przed kilku laty było marzeniem, dziś posiada wszelkie szanse urzeczywistnienia. Zresztą gdyby nawet piętrzyły się przed nami coraz groźniejsze trudności i zapory, gdybyśmy nawet za pierwszym zapędem nie zdołali skruszyć więzów apatyi i czekających nas intryg przeciwników, nic od zamierzonego celu powstrzymać nas nie powinno. Obecna cisza polityczna i obecna nieśmiałość klerykalno-konserwatywnej partyi jest tylko pozorną. Tam z niczego nie zrezygnowali i przy pierwszej lepszej okazyi politycznej ujrzymy ich znowu w pełnym rynsztunku z dawnym programem i dawnym absolutyzmem. Czy wiecie, co ks. arcybiskup Stablewski wygłosił w Śremie „o wspólnem działaniu państwa z kościołem katolickim“? To, co się już dzisiaj dzieje na Szlązku i w Prusach Zachodnich, dziać się może niezadługo w Księstwie — symptomy tego niebezpieczeństwa mnożą się z dnia na dzień i w całej akcyi ugodowego stronnictwa coraz wyraźniej Rzym się odzywa. Powtarza się historyczna tragedya ojczyzny naszej. My dla Kościoła poświęcaliśmy nieraz interesy narodu, — kościół dla nas własnych interesów nie poświęcił nigdy. Niechaj nikt się nie łudzi pozorną ciszą chwili obecnej, — tam z żelazną konsekwencyą lubo z niesłychaną ostrożnością prowadzą krecią robotę. Więc trzeba nam raz wreszcie zabrać się do rozgraniczenia interesów narodu od interesów Kościoła, trzeba zerwać z Kuryerowem hasłem, że sprawy narodowe rozpatrywać należy „**jedynie** przez pryzmat katolicyzmu“, trzeba przedstawicieli elastycznego kierunku „ugody“ usunąć od wpływów demoralizujących i przez zdrowy ruch demokratyczny odświeżyć całe życie zaboru pruskiego. Czas nagli! Najbliższe posiedzenie akcyonaryuszów „Przeglądu“ powinno przyłożyć rękę do dzieła, które stać się może jednym z najpotężniejszych czynników rozwojowych w społeczeństwie naszem.

Upoważniając Szanowną Redakcyę do ogłoszenia pisma powyższego, jeżeli publikacyę taką uzna za stosowną, kreślę się

Z głębokim szacunkiem
Dr. J.

Od Redakcyi. Podając do wiadomości publicznej bez jakiejkolwiek zmiany list korespondenta naszego, nadmieniamy, że propozycyę jego uważamy za najpraktyczniejsze rozwiązanie kwestyi i o ile wpływ nasz

sięga, starać się będziemy o urzeczywistnienie projektu. Z drugiej strony zwracamy się do czytelników naszych z uprzejmą prośbą, aby raczyli nam w dalszym ciągu nadsyłać opinie swoje w formie korespondencyi lub artykułów, oraz podać dla dyskretnego użytku dokładne informacye o l o k a l n y c h stosunkach partyjnych i politycznych w różnych miejscowościach Księstwa i Prus Zachodnich. Chodzi nam o najściślejsze poznanie terenu, na którem powstać mają ogniska stronnictwa naszego, i ludzi, którym powierzyć należy kierownictwo ruchu. Będzie to cenny materyał, ułatwiający wstępne prace komitetowi organizacyjnemu.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

S t o j a ł o w s k i p r z e c i w B o j c e. W ludowych stronnictwach Galicyi zaostrzają się z dniem każdym różnice i starcia. Ks. Stojałowski mianowicie stara się cały ruch demokratyczny ująć w karby swej c h r z e ś c i a ń s k o - s o c y a l n e j p a r t y i i w tym celu zwalcza wszelkiemi siłami, nie cofając się przed żadnym gatunkiem broni, s t r o n n i c t w o l u d o w e, na którego czele stoją Lewakowski, Wysłouch, Bojko, Stapiński, itd. Przed kilku dniami starły się znowu oba kierunki demokratyczne na sejmiku relacyjnym, zwołanym przez posła Bojkę do Dąbrowy. „Kuryer Lwowski“ tak charakteryzuje przebieg dyskusyi polemicznej:

Nad sprawozdaniem posła Bojki otworzył przewodniczący dyskusyę. Pierwszy zażądał głosu ks. Stojałowski. Nie czując gruntu pośród ludności pow. dąbrowskiego dla swoich jezuickich socyalno-chrześcijańskich wichrzeń, jak kot schował pazurki i jąkając się, nieśmiało rozpoczął swoje przemówienie. Najpierw nibyto żądał wyjaśnień dokładniejszych, dla czego między posłami stronnictwa ludowego, a resztą posłów włościańskich nie przyszło do porozumienia i utworzenia jednego klubu. Groził okazaniem listu od posła Szweda, że jedynie religijne pobudki stanęły na przeszkodzie, ale listu tego nie okazał. Bojko odparł ten zarzut stanowczo. Wówczas Stojałowski począł dowodzić, że poseł Bojko nie jest chrześcijaninem, że wypiera się Boga, że chce lud zaprowadzić prosto do piekła, bo nie ma zbawienia ani religii poza chrześciańsko-socyalnem stronnictwem ks Stojałowskiego. Gdy dalej w tym duchu przemawiając, rzucał podejrzenia i oszczerstwa na wszystko i wszystkich, przewodniczący Lewakowski upomniał go, aby przemawiał do rzeczy. Ironiczne uwagi i uśmiechy włościan, skierowane do „Wgo ks. redaktora“, jak się sam zawsze nazywa, podniecały go jeszcze.

Gdy ani pochlebstwami, ani sławieniem siebie samego nie zyskał oklasków słuchaczy, widocznie podrażniony głuchem milczeniem ludu, jak szalony począł się rzucać na stronnictwo ludowe i wszystkich swoich „wrogów“. Mówił jednem słowem w ten sposób, że przysłuchujący się tym obradom i obserwujący go lekarz dr. Müller, orzekł, iż „Stojałowski zdradza początki obłędu zwanego „mania ambitiosa“, który skończy się zupełnem obłąkaniem. Charakterystycznem jest to tem więcej, że poseł dr. Bernadzikowski, zażywający sławy znakomitego lekarza, już przedtem podobną zrobił diagnozę. Nie mogąc w inny sposób uspokoić mówcy, odebrał mu przewodniczący głos i sprostował krótko fałsze wygłoszone. Na to ks. Stojałowski zawołał do dr. Lewakowskiego: pan jesteś masonem, co zgromadzeni śmiechem przyjęli. To do reszty wyprowadziło Stojałowskiego z równowagi. W czasie przemówień dalszych mówców wstawał i siadał ustawicznie, wydawając okrzyki często od rzeczy.

Przemawiali następnie poseł Bernadzikowski i Wójcik, wyświetlając zarzuty czynione posłom ludowym. Poseł Bojko złożył deklaracyę, że i nadal tą samą drogą pójdzie do wywalczenia sprawiedliwości dla ludu. Ani na życzenie ks. Stojałowskiego, ani czyjekolwiek nie podejmie się niczego, co nie zgadza się z jego przekonaniami.

Stapiński przedstawił robotę „WX. redaktora“ w innych powiatach, która zmierza jedynie do zupełnego zawichrzenia i z którego spodziewać się można nie dobra ludu lub czyjegokolwiek, ale tylko niepohamowanych osobistych ambicyi ks. Stojałowskiego. Poparł to kilku stwierdzonemi faktami. Gdzie lud ma żal do księdza, tam St. występuje jako wróg duchowieństwa. Między włościaństwem, uderza na socyalilistów, a gdy mu dogodniej, sam jest socyalistą. Tajemnica prywatna, prawdomówność, wzgląd na dobro ludu, to wszystko nieznane ks. Stojałowskiemu. W końcu przedstawił Stapiński przyczyny, które wstrzymują stronnictwo ludowe od przyjęcia hasła wyznaniowego do walki politycznej.

Włościanin Krzciuk wyraził żal za wywołanie całej tej dyskusyi. Wójt Rzeszotko oświadczył, że lud walczący o lepszą przyszłość dla ludu i całego narodu, powinien się łączyć z ludźmi, których czyny są sprawiedliwe i życie uczciwe, bez względu na wyznanie (brawa).

Przemawiało jeszcze kilku innych włościan, wyrażając uznanie swemu posłowi. Na wniosek wyborcy Musiała, uchwalono p. Bojce zaufanie i podziękowanie wśród oklasków. Ze względu na opóźnioną porę, obrady nad innemi sprawami odroczono do następnego zgromadzenia i o godz. 2 zamknął przewodniczący posiedzenie.

Okazało się tedy dowodnie, jak wielkiem zaufaniem wyborców cieszy się poseł Bojko. Ani jeden włościanin nie poparł ataków ks. Stojałowskiego, pomimo że oddawna rzucał w pismach swoich oszczerstwa na szan. posła, chcąc go zmusić do uległości dla siebie.“

* * *

D o n a s z y c h S o k o ł ó w. W „Gazecie Grudziądzkiej“ czytamy:

„Niedawno odbywał się w Bydgoszczy zjazd delegatów niemieckich „turnfereinów“, na którym, jak donosiły gazety, delegat z Wąbrzeźna stawił zapytanie, czy członkowie polskich towarzystw sokolskich mogą być równocześnie członkami niemieckich turnfereinów. Rozstrzygnięcie tej kwestyi pozostawiono na razie pojedyńczym fereinom.

Otóż zaszedł przypadek, że pewien „Sokół“ zgłosił się do takiego ferajnu o przyjęcie i dostał odpowiedź od zarządu, że „es verlautet, dass Sie dem polnischen Sokol angehören u. wir ersuchen Sie, uns anzuzeigen, ob dieses Gerücht auf Wahrheit beruht.“

Jeżeli teraz pan ów doniesie, że należy do Sokołów, czy go przyjmą? Pewnie nie, boć gdyby go chcieli przyjąć, toby nie pytali o to. — Tak więc albo wystąpi ze Sokoła i zostanie turnerem, albo z długim nosem i zblamowany przez turnerów odejdzie z kwitkiem,

Druhowie! Znowu nauka dla nas, aby t r z y m a ć s i ę s w o i c h p o l s k i c h t o w a r z y s t w a n i e m i e s z a ć s i ę d o o b c y c h. Kto Polakiem szczerym, ten niech nie szuka kamratów niemieckich, a kto się dotąd z nimi bratał, niech się od nich natychmiast odczepi, aby później nie spotkał go wstyd, gdy mu powiedzą: Jesteś Sokołem, więc precz z tobą od

---

Gabryela Zapolska.

PIELGRZYMKA
PANI JACENTOWEJ.
SZKIC.

(D o k o ń c z e n i e).

Z dudnieniem nóg bosych i podciąganiem nosa wybierała się teraz Jacentowa w drogę, wiążąc rzeczy w węzełek, ledwie odziana, w spódniczynie zarzuconej na chude biodra.

Na tapczanie spała Karusia a obok niej leżała Julka, która, milcząc, szeroko rozwartemi oczyma patrzeć poczęła na krzątającą się matkę.

Kaganek świecił na brzegu stołu. Przez małe okienko wdzierał się świt szary i nędzny.

Nagle na łóżku podniósł się i usiadł Jacenty. Był cały zapuchnięty jeszcze od snu i wąsy sterczały mu groźnie pod zaczerwienionym nosem. Rozhamrana koszula spadała mu prawie z ramion. Przetarł oczy i spojrzał na żonę.

— A ty co wyrabiasz? — zapytał chrapliwie — kręćka dostałaś, czy co?...

Jacentowa składała właśnie chustkę dużą, dostatnią, w kraty białe i czerwone; nie patrząc na męża, odmruknęła:

— Co ci do tego, co ja robię!... w niewolę mnie nie wziołeś!...

Tłomoczek spakowany położyła na ziemi, wdziała trzewiki, kaftan, śliną przygładziła włosy i małą chustkę na głowie wiązać zaczęła.

— Gdzie cię niesie? — spytał Jacenty.

— Cztery mile za piec! — odparła kobieta.

Teraz Jacenty przypomniał sobie pielgrzymkę, ową czterodniową wycieczkę, podczas której on miał wraz z dziećmi pozostać sam w mieście.

— Słuchaj, Maryna!... — wyrzekł dobitnie, a zęby mu aż z wielkiej złości drżały — jak ty mi nogą za próg przestąpisz, tak ci takie wały sprawię, że na drugi rok przypomnisz....

Lecz ona porwała tłomoczek i ku drzwiom przyskoczyła.

— Żebym ja ci pierwej wałów nie sprawiła, pijaku! — krzyknęła prawie już na progu.

— Dyablica!... cholera!... suka!...

Teraz oczki Jacentowej zabłysły jak ogniki; chwileczkę zawahała się, lecz przez umysł jej przebiegła chytra chłopska myśl, iż jeden więcej grzech niewiele znaczy, zwłaszcza skoro idzie się tam, gdzie odpuszczą grzechy całego życia...

Szybko, jak mała pantera, poskoczyła ku łożu i reumatyzmem pokręconą pięścią uderzyła po karku męża.

Zanim Jacenty mógł się opamiętać, Jacentowa była już na dziedzińcu, wpadła do bramy, otworzyła drzwi trzymanym w ręku kluczem i wpadła na ulicę.

Jak strzała pomknęła wzdłuż trotuaru, trzymając się cienia domów i skręciła w pierwszą boczną uliczkę.

Tam zatrzymała się dla nabrania oddechu i podniósłszy oczy ku niebu, które już lekko różowiło się na skraju widnokręgu — wyszeptała.

— Panno Najświętsza!... Ofiaruję ci te mizerye na chwałę Twoją — Amen!...

* * *

Pierwszego dnia nieobecności żony, Jacenty przyniósł dzieciom kiełbasy, bułek i piwa. Wypiwszy butelkę na dwie, obie dziewczyny upiły się i nataczawszy się po dziedzińcu, zasnęły wreszcie, opierając głowy o skrzynkę od śmieci.

Jacenty klnąc, zaniósł je do izby i ubrane porzucił na łóżko, a sam poszedł pod bramę wydziwiać i wymyślać na żonę.

Bączkowska stała właśnie przed sklepikiem i słysząc monolog Jacentego, zaczęła mu przyświadczać, mówiąc, że dzieci, mąż i dom, to pilniejsze obowiązki dla baby niż chodzenie po pielgrzymkach.

nas Niemców. Zapiszmy sobie tę naukę dobrze w pamięci!

Zresztą dotyczy ona nietylko samych Sokołów, lecz w ogóle Polaków, którzyby należeli do jakiegobądź Tow. niemieckiego. Nie dla nich tam miejsce.

Czołem!

* * *

N i e g d y ś a d z i ś. Proponowany przez młodzież uniwersytetu Jagiellońskiego obchód 35-tej rocznicy śmierci Joachima Lelewela spotyka w kołach Stańczyków galicyjskich wyraźną niechęć lub zimną obojętność. Dziwnie zaiste zmieniają się sympatye ludzi i pism. Oto co przed 35 laty pisał o Lelewelu „Czas“ krakowski:

„Śmierć jednego z najcnotliwszych ludzi, śmierć pełnego zasług Lelewela żałoba okryła całą Polskę. Nazwisko Lelewela przejdzie do odległej potomności i zawsze z czcią wspominane będzie. Nie było jednej chwili w jego życiu, którejby na pożytek Polski i ludzkości nie poświęcił. Patryota, biorący czynny udział we wszystkich usiłowaniach ku dobru kraju od pół wieku przedsiębranych, pierwszorzędny historyk, mąż, który na chwilę z zasad cnoty nie zboczył, i niczem zachwiać się nie dał, przedstawiał się nam jako wielki starożytnego świata charakter i posągowa postać świetnie wystająca na ciemnem tle naszej niedoli. Jego dobrowolne ubóstwo, zaparcie się siebie, niezmordowane bojowanie za prawdę, postawiły go wysoko i sprawiły, że mąż ten będzie wzorem obywatela, typem polskiego uczonego i przykładem cnoty. Niezmordowanie aż do zgonu pracował, wiele wpłynął na oświatę w kraju i z ubogiej swojej stancyjki tułaczej rozświecał Polsce jej minione dzieje. Cały kraj zwracał na niego uwagę i bacznie słuchał każdego słowa swojego historyka. Cały naród otaczał go szacunkiem i czcią i boleśnie odczuł stratę Lelewela. Grób jego na obcej ziemi będzie celem pielgrzymki, dopóki zwłok jego wraz z zwłokami innych wielkich naszych ludzi do rodzinnej nie sprowadzimy ziemi... Cześć publiczna, oddana u nas Lelewelowi, nowym jest dowodem silnego życia w narodzie, którego po wielu latach doczekał się przecież Joachim...“

Tak pisał „Czas“ o Lelewelu dnia 14 czerwca 1861 r. A dziś?... „Dziś inne zwyczaje“. Milczy staruszek i nie ma nawet jednego słowa pamięci dla tego, któremu cały naród po latach zapomnienia winną cześć oddaje... „A chrapali tak twardym snem, że ich nie budzi blask...“

* * *

B a n k r u c t w o p o l i t y c z n e. Warszawski „Głos“ charakteryzuje w trzeźwo napisanym artykule rosnące bankructwo polityczne i moralne stańczykowskiej partyi galicyjskiej, trzymającej dotychczas ster w swoich rękach. Na zakończenie wypowiada „Głos“ uwagi następujące:

„Nie trzeba się jednak łudzić, że następstwem tego bankructwa będzie upadek stanowczy powagi i wpływów stronnictwa zachowawczego. Zabezpieczyło ono dobrze swoje stanowisko, i wyparcie go z tej obwarowanej przywilejami twierdzy wymaga całego szeregu lat i zabiegów energicznych. Przedewszystkiem ustawa wyborcza zapewnia zachowawcom sporą liczbę mandatów w kuryi wielkiej własności, a stosunki miejscowe dają im nadzieję zdobycia pewnej ilości mandatów i w kuryi posiadłości drobnych, przynajmniej we wschodniej części Galicyi. Powtóre, szlachta galicyjska posiada dziś wpływ nieograniczony zarówno na władze autonomiczne, jak i na władze państwowe i działa w ścisłym sojuszu z wyższą hierarchią duchowną. Jakkolwiek wmieszanie się duchowieństwa do walki politycznej zachwiało jego powagę w oczach ludu i zaszkodziło mu dotkliwie, biskupi galicyjscy, ściśle ze szlachtą związani, sojuszu tego dziś jeszcze nie zerwą.

Stronnictwo ludowe, od niedawna dopiero istniejące, niema odpowiedniej liczby ludzi, którzy mogliby skutecznie współzawodniczyć o mandaty poselskie. Nie brak w niem może ludzi zdolnych, ale ci są za młodzi i nie mogli dotychczas wykazać swoich kwalifikacyi politycznych. Gdyby tzw. demokraci galicyjscy mieli więcej zmysłu politycznego, zrozumieliby, że chwila dzisiejsza jest dla nich bardzo korzystną, i zamiast występować przeciw ruchowi ludowemu, postaraliby się iść z nim razem i w ten sposób go poniekąd opanować. Ale stronnictwo liberalne w Galicyi jest i nieudolnem politycznie i niedołężnem i, kto wie, czy ono nie zapłaci głównie rachunku likwidacyi podczas przyszłych wyborów.“

— ski.

Lelewel a młodzież polska.

Łatwa sława nie bywa udziałem tych, co zuchwałą ręką zrywają zasłonę z oblicza prawdy i w burzącą się otchłań myśli ludzkiej śmiało idą, aby z niej perłę nowego wynieść blasku. Wyjątku z ogólnego prawidła nie stanowi i Lelewel, którego pierwsze kroki w zawodzie naukowym spotkały się z nieufnością, lekceważeniem, a nawet szyderstwem i krzywdą. I jeden tylko odłam społeczeństwa oświadczył się od pierwszej niemal chwili za, a nie przeciwko niemu, otoczył go uznaniem, które wzmagało się w miarę, jak wyrastała jego sława, jego wziętość obywatelska. Odłamem owym była młodzież, owa „do światła zwrócona źrenica narodu“. Przeczuła ona wielkość Lelewela wówczas jeszcze, gdy ta była tajemnicą dla pierwszych głów w kraju. Kochankiem jej stał się mędrzec republikanin; „rozmnożyciel i patron rewolucyjnych w Polsce wyobrażeń — mówi Mochnacki — omamił ją rozległością pojęć swoich, mocą wyobrażeń, głęboką znajomością powodzeń i klęsk rodu ludzkiego“. I wiele, — że nie powiem wszystkie, — zielonych liści lauru rzuciły młodzieńcze dłonie na górną, a więc skalistą i znojną drogę Lelewela.

Kiedy uczona krytyka doradzała przyszłemu autorowi „Polski, dziejów i rzeczy jej“, aby się nie zapuszczał w badania zamierzchłych czasów, bo tem własnej tylko dowiedzie zarozumiałości; kiedy Towarzystwo przyjaciół nauk nie chciało go przyjąć na członka, a drukarnie wzdragały się wytłoczyć swą firmę na jego dziełach, których bywał sam — w braku innego — nakładcą, młódź w Krzemieńcu, a potem w Wilnie i Warszawie, otaczała go najżywszą sympatyą, słuchała jego słów jak wyroczni. Było to wszakże tylko przegrywką, wstępem do wziętości, jaką pozyskał za powtórnego w Wilnie pobytu. Wielowładne wpływy Jana Śniadeckiego odpychały przez dłuższy czas Lelewela od katedry historyi przy uniwersytecie wileńskim, lecz kiedy uczony matematyk uległ w końcu opinii publicznej i Lelewel przybył do grodu Gedymina z nominacyą na profesora, młodzież witała go z radością, z uniesieniem bez granic. W dniu otwarcia kursu żadna z sal wykładowych nie mogła pomieścić zgromadzonego tłumu, aż rektor zmuszony był uchylić podwoje olbrzymiej auli, która się w mgnieniu oka przepełniła słuchaczami. Po skończonej prelekcyi, w której Lelewel porwany prądem ogólnego uniesienia, prześcignął samego siebie, mury trzęsły się od oklasków ochoczych dłoni młodzieńczych. I wówczas to młode pokolenie

---

Bączkowska była jeszcze niczego, jędrna jak rzepa, okrągła i zawsze czysto a szumiasto odziana. Mówiąc, uśmiechała się i zawracała oczami.

Jacenty zauważył, że sklepikarka była jeszcze niczego i zbliżył się, tembardziej, że znalazł w niej chętnego słuchacza.

Rezultatem było zaproszenie Jacentego przez Bączkowską na szklankę piwa i, jakkolwiek nic zaszło nic zdrożnego, jednak już Jacenty nie uczuwał tak bardzo osierocenia i opuszczenia swego.

Bączkowska, rozczulona, przyrzekła nawet zająć się dziećmi i rzeczywiście nazajutrz przyszła z dużym garnkiem mleka i porcyą suszonych śliwek.

Zastała tylko Karusię, bo Julka doprowadziła do skutku dawno ułożony plan i wylazłszy za bramę, powędrowała w świat Boży.

Jakie były jej losy, o tem nikt nie wiedział, gdyż nazajutrz przyniósł ją policyant z rozkrwawioną od uderzenia kamieniem głową.

Musiała jednak Julka widzieć piękne i słoneczne rzeczy, bo w głębi swych olbrzymich źrenic zdawała się mieć nagromadzone tajemnicze skarby, zazdrośnie i w milczeniu ukryte.

Tymczasem Bączkowska szastała się po izdebce stróża i teraz Jacenty nie wychodził do szynku ani przed bramę, lecz wciąż starał się być blisko otyłej wdowy.

Ciągnęło go do niej jak muchę do miodu.

Kobieta nie broniła się, owszem chętnie podsuwała swe rozrosłe ciało pod wzrok i ręce mężczyzny, który jej zawsze imponował olbrzymim wzrostem i niewzruszonym spokojem.

I na trzeci dzień, Bączkowska i Jacenty wynieśli się z izdebki do sklepiku, gdzie byli o wiele swobodniejsi po za szafami i gdzie nie ścigały ich milczące i zdziwione oczy Julki.

Tymczasem obie dziewczynki napróżno wyczekiwały jakiegokolwiek pożywienia.

Karusia zanosiła się z płaczu, a łzy jej, ściekając po dawno nieumytej twarzy, tworzyły długie, szare, tłuste pasma.

Julka, zacisnąwszy usta, jak małe prosię, instynktem wiedzione, szukała po kątach jakich okruszyn jadła.

Znalazła trochę spleśniałych kartofli i te po odrobinie wsuwała w buzię siostry.

Pod wieczór jednak głód szarpał jej wnętrzności.

Słyszała, jak ojciec pompował wodę na dziedzińcu, jak zamiatał i czyścił skrzynię do śmieci.

Nie mogła się jednak odważyć stukać i wołać o trochę pożywienia.

Zamknięto je bowiem na klucz z obawy nowej wędrówki po świecie.

Wieczór nadszedł, Karusia leżała teraz w kącie tapczana i nie miała już siły płakać, tak bardzo drobne jej piersi spracowały się od ciągłego krzyku.

Julka stała oparta o ścianę. Brudna szmata, którą owinięto jej czoło, spadła jej na ramiona i na olbrzymiem czole wśród błękitnawego światła wieczoru ciemniała szrama, z której sączyła się powoli krew, ciekąc na wybladłe policzki.

Klucz zachrobotał w zamku i Jacenty stanął na progu izdebki.

Przypomniał sobie wreszcie dzieci i prosił Bączkowskiej, aby przyszła ugotować im trochę ciepłej strawy. Lecz wdowa, czując się już panią sytuacyi, nie miała ochoty męczyć się bezpotrzebnie i ograniczyła się jedynie na daniu Jacentemu trochę mleka i białego chleba, radząc mu, aby mleko przegotował.

Klnąc, plując, drżącemi ze znużenia rękami, rozpalił Jacenty ogień i postawiwszy na fajerkę rądel z mlekiem, zabierał się do rzucenia się na łóżko, gdy zapukano cicho do okna.

To stróż z sąsiedniej kamienicy przyszedł wyciągnąć Jacentego na kieliszek „słodkiej“ przed zapaleniem światła na schodach.

Jacenty, po chwilowem wahaniu, wyszedł, zamykając drzwi na klucz.

W izdebce, oświetlonej skąpo przebłyskami płonących w piecu drzazg, pozostała

złożyło przez usta genialnego tłumacza zbiorowej swej duszy, przez usta piewcy „ody do młodości“, pierwszą daninę publicznego hołdu u stóp tego, co światłem przenikliwej myśli rozpraszał ciemność, rozciągnioną nad kolebką narodu. Adam Mickiewicz, były uczeń Lelewela, przybyły umyślnie na tę uroczystość z Kowna, wygłosił znany swój wiersz „Do Joachima Lelewela“, który kończy z prośbą, aby nie pogardził wieńcem, jaki mu „wdzięczni składają młodzieńce“.

Obok uwielbienia dla uczonego, które znalazło wyraz w dniach powitania, zakwitła niebawem w młodych duszach gorąca miłość i cześć dla człowieka. Bratersko życzliwy dla wszystkich bez wyjątku słuchaczy, gotów spieszyć każdemu z pomocą, czy kto potrzebował złota jego wiedzy, czy zasiłku na chleb powszedni (na to ostatnie niemal całą pensyą profesorską wydawał), ujmujący w ruchu, spojrzeniu i słowie, Lelewel — że powtórzę wyrażenie jednego ze spółczesnych — „zawracał głowy“ młodzieży, której z górą tysiąc uczęszczało na jego wykłady.

Niedługo trwał wszakże zawód profesorski Lelewela. Car, który go nienawidził potrójną nienawiścią jako Polaka republikanina, rewolucyonistę, pozbawił wkrótce katedry, ale wpływu na młodzieńcze umysły pozbawić nie miał władzy. W Warszawie, dokąd się przesiedlił po opuszczeniu Wilna, otoczyły go znowu młode, gorące, szlachetne serca ciasnem kołem.

Wiara w światło jego rozumu i serca była bezbrzeżna: przed forum jego powagi wytaczano najważniejsze i mniej ważne sprawy. W komentarzach do listów sławnego swego syna Marya Mochnacka przytacza zajmujące w tej mierze szczegóły. Opowiadając mianowicie o żwawych dysputach, jakie miewały miejsce między Maurycym a przyjacielem jego Michałem Podczaszyńskim, tak pisze dalej: „...czasami jeden za drugim w największym nieładzie kamizelek i tużurków i głów niewyczesanych, dla szybkości bez kapeluszów biegli na drugą stronę ulicy do Joachima Lelewela, naprzeciwko mieszkającego; a ja w oknie widziałam, jak przed nim, ową wyrocznię całej młodzieży, nawzajem się oskarżali i za sędziego brali. Te sceny tak bywały częste i zajmujące, że ich pominąć nie mogę; charakteryzują one szczęśliwy wiek naszej młodzieży, która żyła w całem znaczeniu tego wyrazu, światłem wszelkich nauk i mądrością ludzi sławnych.“

Najwymowniejszy atoli dowód zaufania dała swemu wybrańcowi młodzież, zwierzając się przed nim z tajemnic politycznej swej roboty. Przeczuwała snać, że geniusz tego męża pojmie wysokie loty jej wyobraźni i sny serc gorących. Piotr Wysocki, twórca Związku Wojskowego kilkakrotnie porozumiewał się przed Nocą Belwederską z Lelewelem, piastującym natenczas godność poselską i u niego szukał sankcyi dla działań i zamysłów stowarzyszenia, o którem pisze historyk, że „była to burza zawarta w ognistych głowach, przechodem swoim, jak gwałtowny uragan, mogąca obrócić w niwecz wszystko, coby jej na drodze zawadzało.“

Podczas powstania Lelewel — minister oświaty w pamiętnej onej dobie — zaznacza ponownie solidarność swą z młodzieżą, stając w obronie głośnego jej przedstawiciela, belwederczyka, Seweryna Goszczyńskiego, którego biskup płocki oskarżył o bezbożność z powodu wiersza pt. „Modlitwa wolnego“. Lelewel w płomiennej poezyi winy nie dostrzegł i młodego poetę od oskarżenia uwolnił.

Potem, kiedy w krwawym zamierzchu dnia walki poszedł, bolejący cierpieniem Polski na obcą ziemię, w ślad za nim biegła sympatya młodego pokolenia. Miał jej dowody liczne we Francyi. A gdy wyścigany nawet stamtąd mściwą ręką monarchów znalazł schronienie w Belgii, jego głośne na cały świat dzieła, jego wzniosły charakter, zjednały mu podziw Belgów; uboga rzesza robotnicza widziała w nim brata, najwyżsi dostojnicy z królem na czele szukali z nim znajomości, ogół, mówiąc o nim, nazywał go krótko „wielkim człowiekiem“, nie dodając nazwiska. Ale któż otaczał miłością tego starca w perkalowej bluzie robotniczej, pochylonego od świtu do nocy nad pracą w ascetycznej nieopalanej smutnej izbie? — Młodzież. Ona też wspólnie z gronem uczonych żegnała „wielkiego człowieka“ obiadem składkowym, gdy na dni kilka przed śmiercią, naglony przez przyjaciół, opuszczał Brukselę, jej przedstawiciele z uniwersytetów Brukseli, Candawy i Leodium składają mu hołdy gorące na dworcu w chwili odjazdu do Paryża. Jakaż potęga coła — ku zdumieniu lekarzy — konającego już Lelewela od krawędzi grobu i przedłuża o dni kilka jego życie? — Potęga miłości serc młodych: czar wspomnień, wyniesionych z uniwersytetu wileńskiego.

Czyj głos brzmiał najwymowniej nad otwartym grobem Lelewela? Młodego robotnika, Paryżanina. Za czyjem staraniem odbyły się okazałe manifestacye na żałobną wieść o śmierci przyjaciela ludzkości? Za staraniem ognistej z r. 61 młodzieży polskiej w Warszawie i Wilnie, a polskiej i ruskiej w Kijowie. Kto wziął sobie jak sztandar imię Lelewela w walce o wolność z r. 1863? Młodzieńczy partyzant Marcin Borelowski.

Któż teraz nakoniec echowo biegnącym po kraju oklaskiem przerywa ciszę zapomnienia, co od lat trzydziestu pięciu przytłacza mogiłę wielkiego Polaka w obcej ziemi? Czy może uznani wyobraziciele opinii publicznej lub uczone jakie ciało? — Nie! To wierna swej tradycyi młodzież polska zapala lampę pamięci nad grobem mistrza, który wiódł jej myśl w pomrokę dalekiej przeszłości i w blask przyszłych czasów i udowadnia tem raz jeszcze prawdę słów samego Lelewela, że „węzła myśli“ jego z młodzieżą „żadna moc ludzka nie rozerwie“, że ta myśl wryje się głęboko w serca, w dusze kochanych dzieci strapionej Polski.

(Tydzień.) *Marya Wysłouchowa.*

LITERATURA I SZTUKA.

Ze spuścizny literackiej po śp. W. Sawiczewskim.

Do pocałunków.

Pocałowania brały usta moje,
Pocałowania silne, bezprzytomne...
Których wspomnieniem dotąd myśli poję,
Choć innych pieszczot dziewczyny nie pomnę.

Julka i Karusia, obie pełne nadziei dostania wreszcie okruszyny ciepłej strawy.

Na czworakach wylazła Karusia ze swego legowiska i skierowała się do pieca, za nią poszła Julka.

Obie znalazły się przy kominie, dostając zaledwie czubkami głów do skraju tegoż, z głowami zadartemi, z oczyma wlepionemi w ten rądel, gdzie grzało się mleko, które w tej chwili przedstawiało dla nich jedyne pożądanie i tak gorąco upragnioną i wypłakaną strawę.

Nagle Julka poruszyła się niecierpliwie. Mleko zaczęło kipieć, z szumem wylatywało na blachę i w tysiącach perełek, drżąc, biegając, tańcząc, niknęło w przestrzeni. Julce nabiegły łzy do oczów. Obejrzała się na drzwi, ojciec nie wracał, mleko ucieknie, zbiegnie tak całe... i znów nie pozostanie ani dla niej, ani dla Karusi nawet okruszyny, nawet jednej kropelki.

Na wypukłem jej czole zarysowała się nagle zmarszczka jakiegoś silnego postanowienia.

Przysunęła do komina stołek i wdrapała się nań z wielkim trudem. Stanąwszy, wyciągnęła rękę i ujęła za rączkę rądla, pociągnęła ku sobie, lecz naczynie było ciężkie i nie stało równo, wtłoczone jednym brzegiem w otwór fajerki.

I nagle, równocześnie, rozległ się nieludzki krzyk z obu dziecinnych piersi. Mleko gorącym warem oblało całą głowę i ciało stojącej koło komina Karusi, a Julka, straciwszy równowagę, spadła z krzesła na ziemię, rozraniając sobie do reszty swą nieszczęsną głowę skrofulicznej istoty.

* * *

Na czwarty dzień pod wieczór, pani Jacentowa, zabłocona, wychudła, zczerniała, ze spódnicą obszarpaną, z odzieżą zlaną deszczem, weszła na dziedziniec, niosąc pod pachą dwa różańce, butelkę wody Studzienkowskiej, kilka obrazków, kropielniczkę i masę innych przedmiotów.

Pchnęła drzwiczki od izdebki i zatrzymała się na progu, mrużąc oczy, nie widząc dokładnie w tej ciemni, od której odwykła.

Usłyszała tylko jakby pisk kociaka i w kącie na tapczanie dojrzała wreszcie pakunek waty, z której się pisk ten wydobywał.

Obok leżała Julka z oczyma płonącemi, z głową obandażowaną, milcząca i chmurna.

Na stole stał talerz, na którym żółciła się oliwa i leżało duże gęsie pióro, ociekłe złotą cieczą.

Jacentowa rzuciła na ziemię tłomoczek i ku drzwiom podbiegła.

Nie było w stancyi nikogo, lecz leżąca na łóżku czapka Jacentego wskazywała, że stróż musi być niedaleko. Jacentowa odsunęła watę i z ust jej wybiegło jedno słowo:

— Jezu:...

Z Karusi została jedna żywa rana, purpurowa, bąblami białemi pokryta.

Drzwi skrzypnęły, Jacenty wszedł do izby. Spojrzał na żonę wrogo, nienawistnie i za czapkę pochwycił.

— Co sie tu stało? — spytała Jacentowa.

Lecz on, zamiast odpowiedzi, splunął pogardliwie i wyszedłszy z izby, drzwiami trzasnął.

Jacentowa stała chwilę w milczeniu, aż wreszcie na kolana upadłszy, modlić się poczęła.

Julka poruszyła się niespokojnie na łóżku i swe wielkie, zgorączkowane źrenice utkwiła w matkę, jokby z zapytaniem i pozostała tak ciągle milcząca, z ustami spieczonemi, zaciśniętemi w upartem milczeniu. Lecz Jacentowa wyciągnęła rękę w stronę, w której na ciemnem tle ściany połyskiwał wyzłacany obrazek Dziewicy.

— A... wyprowadźże dziecinę moje z tych chorób, Panno Najświętsza! — zawołała, zanosząc się od płaczu, a ślubuję ci nową pielgrzymkę!...

Dorobek literacki J. Kubisza bardzo niewielki. Zdaje mi się, że oprócz zbiorku p. t. „Śpiewy starego Jakóba (Cieszyn 1889 żaden inny zbiór całkowity jego poezyi nie ukazał się. Inne jego utwory różnej wartości i obszerności rozsiane są po pismach: „Pamiętnik Czytelni ludowej“ w Cieszynie 1887, „Przyjaciel ludu“, pismo ewangielickie, jakoteż „Przegląd polityczny“ później zy dodatek do „Przyjaciela ludu“ i innych. Ogólną cechą wszystkich utworów poetyckich J. Kubisza jest charakter okolicznościowy na wskroś tendencyjny w kierunku podniesienia i rozbudzenia świadomości narodowej.

Występował on gorąco przeciwko tym, którzy —

— — nieszczęśliwi, do ojczystych progów
Wnieśli cześć cudzych, cześć fałszywych bogów.
Niewinne serca swych dzieci zatruli,
Bo je ucz li tym bogom się modlić,
Bo je uczyli ohydnie zniewważać
Swoje świętości, a obce poważać —
O, takie dzieci musiały się spodlić!

(Śpiewy starego Jakóba 6).

Nuta szczerego patryotyzmu podzwania w każdym wierszu Kubisza: czy uskarza się na tych, którzy —

— — — śpią sobie bez troski.
Gdy twoi bracia twój upadek knują — —

czy odzywa się z żalem:

Ziemia nasza bracie młody
Śpi jeszcze, śpi jeszcze;
Nad nią ciche szumią wody
Ciemny bór szeleszcze...

(Śpiewy starego Jakóba, 24, 25)

Staje się ta nuta jeszcze bardziej rzewną, ile poeta rozwija ją w obrazie, jak np. we wspomnianym już wierszu na jubileusz Czytelni ludowej w Cieszynie, w którym opowiada z prostotą i ciepłem dzieje własnego sielskiego życia na tle natury i stosunków panujących.

Pierwiastek religijny, tkwiący głęboko we wszystkich poezyach J. Kubisza, a będący również najwybitniejszą cechą jego talentu pisarskiego, łączy się zawsze z nutą patryotyczną. Dla tego też poeta najchętniej posługuje się tematem na tle religijnem wysnutym i z upodobaniem zatrzymuje się na obrazach, porównaniach i myślach bibilijnych, szczególnie z życia Mojżesza. Tożsamość położenia, życie w niewoli, pragnienie wydobycia się z niej, podsuwają mu bardzo łatwo tematy biblijne. O ile z jednej strony czyni go to, jako poetę, przystępniejszym i zrozumialszym dla ludu wiejskiego, o tyle krępuje jego twórczość obrazami i myślami już gotowemi i odsuwa od rodzinnego źródła natchnień. Próba zaczerpnięcia z tego zdroju, dokonana bardziej udatnie, niż inne próby poetyckie w wierszu wygłoszonym w Czytelni Cieszyńskiej w czasie jubileuszu, powinny były poetę na drogę twórczości swojskiej zwrócić. Brak siły dramatycznej w jego charakterze i energii w wierszu biblijnym, czyni go bladym i pozbawia tego patosu, jakim tchnęły poezye biblijne K. Ujejskiego.

W wierszu p. t. „Mojżesz“ poeta szuka analogii z dzisiejszem położeniem Śląska, a właściwie dzieci polskich na Śląsku. Obawa przed niepewnym losem każe matce oddać dziecię na wychowanie córki Faraona. Dalej powtarza się i rozwija legenda hebrajska aż do chwili wyzwania do boju Egipcyanina, zamordowania go i ucieczki. Opowiadanie pozbawione wprawdzie ciepłego kolorytu biblijnego, ale ożywione i podniesione zrozumieniem krzywd, jakie się dziś dzieją.

Za cóż się tak uj ujesz za braci twych rzeszą
Spo lonych i jęczących pod jarzmem niewoli? —
A cóż tobie do tego? Czy to ciebie boli?
A cóż tobie do tego iże oni biedni,
Gdy jeno ty jesz z złotej miski chleb powszedni!

Mojżesz J. Kubisza jest tylko z imienia Mojżeszem hebrajskim: Egiptem jego jest Śląsk, a bodźcem do walki ta krzywda, która codziennie się dzieje ubogim dzieciom polskim. Mojżeszowi poety każą czuć i myśleć tak, jak tylko pragną Niemcy, ażeby każdy Polak na Szląsku myślał.

— — — Miłość, ojczyzna, sława, przyjaciele,
Ofiarność, cnota, święte o czyste poczucie —
To głupstwa, śnią dziś o nich tylko marzyciele!
A działać dla swej braci, to śmieszne rzemiosło,
Które jeszcze nikomu zysku nie przyniosło!

Faraonowi i niemczycielom Śląska dzisiejszym można było jednako dogodzić:

Gdybyś tak pierś twej braci rozdarł i pokrwawił —
Za czyn taki królewskiej dostąpiłbyś łaski.
A kapłani Egiptu dalić-by oklaski!

Takim samym duchem owiany jest drugi poemacik Jana Kubisza pod tyt. „Woda ze skały“, napisany na uroczystość otwarcia gimnazyum polskiego w Cieszynie. (Przegląd polityczny, dodatek do Przyjaciela ludu 15-go września 1895). Wiersz ten przewyższa inne spokojnym i głębszym liryzmem I tu bierze poeta myśl z legendy staro-hebrajskiej o Mojżeszu, który narzekającemu i zmęczonemu podróżą do Chanaan ludowi, otworzył źródło czystej wody ze skały w pustyni. — Wiadomo, że Niemcy, życzenie Polaków otwarcia polskiego gimnazyum w Cieszynie, starają się przedstawić jako czyn zbrodniczy nieomal, barbarzyński — bo po co jakaś polska szkoła tam, gdzie się pali pochodnia niemieckiego światła! Garstka polskich renegatów, którzy zdołali już zniemczyć myśli, tylko im na świadectwo polskości nazwiska zostały, stanęła po stronie Niemców, bo oni dotychczas występują na Śląsku w roli owych krajczych, mających dla przyjaciół zawsze pełne misy; obok nich stanęli trwożliwi i wahający się. Do takich niewierzących odezwał się poeta pięknemi słowami:

On nie winien, że ręce, która mu otwiera
Podwoje szczęśliwości, gwałtem się opiera;
Nie winien, że się lęka i ofiar i trudów
I tylko się ogląda na moc Twoich cudów!
Panie! On i tak biedny, skarany dla tego
Że prócz chleba nic w życiu nie widział innego,
Że na okół błędnemi spogląda oczyma,
Ażali też gdzie wody k' pokrzepieniu nie ma.

(Mojżesz).

Najdłuższym pod względem objętości jest poemat p. t.: „Syn marnotrawny“, do którego pomysł, jak do wszystkich prawie swoich utworów poetyckich J. Kubisz zaczerpnął z opowieści biblijnej, zmodernizował go tylko, jeżeli można tak powiedzieć i przystosował do tych ciężkich anormalnych warunków, jakie panowały, a poniekąd panują na Śląsku. Nie umiem powiedzieć, czy poemat ten był kiedy drukowanym i gdzie.

---

gini.. (przeciąga się i leniwym krokiem odchodzi na lewo.)

Merkury (spoglądając za nią): Oj, tak, tak!... serce się kraje patrzeć na muzę, co kozy pasie!... Tegoby żadna chórzystka nie zrobiła, nawet przed wstąpieniem do teatru. Okropność, co za degrengolada!... Wolałbym być tragarzem, listonoszem, ekspresem, niż bogiem na emeryturze! (w dali w głębi słychać wołanie: hop, hop! za sceną). A to co? kto tam?... co za śmiałek wdziera się na Olymp?... O tej porze?... patrzcie państwo!... (idzie w głąb sceny, przykłada rękę do oczu i spogląda w dół). Czy mi się przysłyszało? ktoś wołał hop, hop!... głos ludzki! Wyraźnie od ziemi ktoś woła!!.. (nasłuchuje).

SCENA 3-cia.

Merkury, Farsalski (po chwili) Polip.

Farsalski (za sceną): Hop, hop!... panie Polip!... a gramolże się pan prędzej!... (jesteśmy już u szczytu (w głębi, z po za krawędzi skały ukazuje się głowa w cylindrze).

Merkury (wystraszony): Na Zewsa!... człowiek!...

Farsalski (wspinając się na skałę i zeskakując z niej zgrabnie na scenę; we fraku, białym krawacie i białych rękawiczkach, w szapoklaku na głowie). Albo tu, albo nie tu?... (spostrzegając Merkurego). Hej, człowieku!... słyszycie?...

Merkury (kuleje szybko ku wzgórkowi): Ja nie jestem żaden człowiek.

Farsalski: Nie człowiek?... Pyszny facet!.. a czemże ojciec jest?

Merkury: Ja jestem bóg!.. Merkury!...

Farsalski: Merkury?... A to serwus, Merkury!.. bardzo mi przyjemnie. Właśnie nam takiego potrzeba! (zdejmując szapoklak, kłania się z przesadną elegancyą) Farsalski!... Apoloniusz Farsalski!... dyrektor trupy prowincyonalnej!... Mam honor się rekomendować. Nie uciekajno ojciec, jak od cholery!... (wracając w głąb) No, panie Polip! wyleziesz pan raz, czy nie?... Na czworakach się wspina, jak nieboskie stworzenie! Dawajże pan łapę!... pomogę panu (podaje mu rękę i wyciąga na skałę). A toś się pan zasapał!... Wstydź się pan!... Ładny z pana reporter!...

Polip (ocierając sobie czoło chustką): Uf!... zmachałem się, jak przy pożarze. Wszystkie kosteczki mnie bolą!... Dyrektor skaczesz, jak pchła, a ja ledwie się wdrapałem w górę. To już ten zatracony Olymp, co?... Bo puszczę kantem tę całą wyprawę i dalej ani kroku nie zaryzykuję! Dwa tysiące dziewięćset siedmdziesiąt trzy metry nad powierzchnią morza choćby po pięć kopiejek tylko, to...

Farsalski: Już pan naciągasz?...

Polip: Nie naciągam, ja obliczam tylko koszta podróży. Tego mi przecież żadna redakcya nie zwróci (złazi ze skały). Pomarańczowy pomysł dyrektor miałeś z tą wyprawą na Olymp. (rozgląda się dokoła) Pustka!.., idę w zakład o pięć fajglów, że tu nawet kubełka pilznera nie dostanie na odwilżenie gardła. Ale od czego przezorność!... (wyjmuje z kieszeni butelkę piwa) Wziąłem ze sobą podróżną piwniczkę. Golniesz dyrektor?...

Farsalski: Nie teraz. Wpierw audyencya!... (do Merkurego) Słuchajno ojciec, my tu w deputacyi. Mamy mały interesik do was.

Polip: Kokosowy interes!... (przyglądając się Merkuremu) A to co za trupiszon?...

Farsalski: Jakto nie poznajesz redaktor? to Merkury!...

Polip: Merkury?... Dawaj Merkurego! Patrzcie państwo, to ten złodziej żyje jeszcze?...

Merkury: (grożąc mu kulą) Niech śmiertelny nie ubliża!... Tylko bez dyfamacyi!...

Farsalski: Możesz redaktor mieć proces. Trzeba z nim grzecznie. (do Merkurego) No, i jakże, ojciec?... możemy się widzieć z panną Muzą?...

Merkury: A z którą?...

Farsalski: Z panną Melpomeną, rozumie się, — z naszą szanowną boginią i dobrodziejką!...

Merkury: Z Melpcią?... a cóż to za interes?...

Farsalski: [z emfazą] Interes sztuki i sceny. Właśnie mamy zamiar wystawić dla niej nową świątynię.

Merkury: Na ziemi?

Farsalski: Nieinaczej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przeznaczył go był wprawdzie autor do felietonu Przeglądu politycznego w Przyjacielu ludu; zdaje się jednak, że w całości nie ukazał się, o ile sądzić mogę z licznych przekreśleń na posiadanym rękopisie.

Tak czy inaczej, jest to poemat, który z powodu myśli przewodniej dawał autorowi szorokie pole do stworzenia utworu bardzo popularnego i mogącego mieć wielką doniosłość moralną i narodową. Poeta przedstawił tu młodzieńca, wychowanego pod wiejskim dachem Sląska w miłości ziemi ojczystej i poszanowaniu rodziny. Popychany żądzą nauki, natchniony w szkole myślą, że tylko niemiecka nauka jest prawdziwem światłem na świecie, pojechał szukać tego światła w obcem i dalekiem mieście. Otoczony tą obczyzną ze wszech stron, zasłuchany w powieści o sławie i wielkości niemieckiej, zaczął się wstydzić swego narodu, wsi i rodziny, z której wyszedł.

Mnie tak było prawie,
Jak studentowi co się ojca wstydzi,
Że licho odzian, bowiem mu się widzi
Że gdy jest biednym, musi być w niesławie.

Śród tego otoczenia, na wskroś obcego i wrogiego z dawnych „uczuć i miłości“

Gasła iskierka ciągle po iskierce —
I było chłodnem, zimnem moje serce,
A po tej walce i po tej katuszy
Nastała próżnia wielka w mojej duszy. — —

Powoli przyszedł okres bezwzględnej adoracyi niemieckiej „kultury, sławy, wielkości i potęgi“. Potem nastąpiła miłość dla „niemieckiej dziewicy“

Starożytnego, potężnego rodu
Sławną ze swego wdzięku i piękności,
Dziewicę ducha, pieśni, poezyi;
Ukochałem ją całą siłą młodą
I całym ogniem mej pierwszej miłości.

Miłość ta nie zgasiła na szczęście w jego duszy wspomnień młodzieńczych, nie zatarła obrazów wsi rodzinnej, nie zagłuszyła dźwięku mowy ojczystej. Prześladowany temi widmami własnej duszy, oszukiwał sam siebie myślami o wielkości niemieckiej, aż nareszcie przekonał się powoli, że obca wielkość nie w stanie jest nigdy wypełnić całej duszy ludzkiej; że na dnie jej, w rozmaitych zakątkach pozostają zawsze dawne echa rodzime, które w ciszy nocy, śród samotnych rozmyślań grają dziecinne wspomnienia. Rozbudzone sumienie nie dawało mu spokoju i pchało go coraz głębiej w wir życia, ażeby ciche dawne echa zagłuszyć w duszy. Jednym z kroków do tego było przystąpienie do „Verein deutscher Jugend aus Ost-Schlesien“ — jednego z tych towarzystw, które się tworzą umyślnie dla niemczenia polskich dzieci. Bohater wdział na siebie wreszcie „czarno-złocistą przepaskę“

I tem publicznie przed światem okazał
Żem się z narodu polskiego wymazał,
Że się z wrogami mymi połączyłem.

Łatwiej jednak było nosić obce godła, niż duszę na obcą przerobić. Syn marnotrawny poznał się na tem, że

Była to sztuka prawdziwie zdradziecka —
Przeciwko ojcu dać nóż w rękę dziecka.

Przyszły chwile rozwagi, zastanowienia się, rozbudzenia się drzemiących, lecz niewygasłych uczuć narodowych i „czarno-złocista przepaska“ poszła na ofiarę tych uczuć. Młodzieniec wrócił w progi ojczyste, wyleczony z wielkości niemieckiej.

Poemat powyższy, trzymany w tonie opowiadania, tu i owdzie błyszczy pięknemi myślami i tryska ciepłem rodzinnem, jako całość jednak nie należy do udatnych. Brak dokładnego rozwinięcia myśli i obrazów nadają mu pewną suchość; chropowatość wiersza, słabe rymowanie pozbawia go dźwięczności poetyckiej. Niedostateczne opanowanie języka i niedość wielka zasobność słownikowa uniemożliwiają poecie wyrażenie i wycieniowanie myśli.

Zresztą, znaczenie J, Kubisza dla Śląska trzeba mierzyć inną miarą, niż dla literatury pięknej — nie estetyczną, nie artystyczną, lecz społeczną. Kubisz nie jest wprawdzie poetą ludowym, ale jest poetą dla ludu, do jego serca i myśli swoją prostą mową trafić umie, a w tem właśnie jego wielka zasługa.

W „Spiewach starego Jakóba“ ze zwykłą poecie skąpością poetyckiego słowa, ale z wielką prawdą przedstawił dwa współczesne typy śląskie („To Niemiec i To Polak“), które w życiu idą odmiennemi drogami: pierwszy nienawidził Polaków — znamienny rys renegatów wszystkich narodowości wogóle — wychwalał niemczyznę i miał przed sobą drogę do życia otwartą; drugi szedł przez życie ciężko z powodu, że się własnego języka i obyczaju nie zaparł, a każdemu krokowi jego towarzyszyły jak hańba słowa: hat polnisch gesprochen! Prawda przeważyła tu szalę poezyi.

W ostatnich utworach, jak „Woda ze skały“ — na uroczystość otwarcia gimnazyum w Cieszynie — i „Mojżesz“ znać większe wyrobienie, gładkość wiersza i siłę.

Wogóle można powiedzieć, że się J. Kubisz nie rozwinął wszechstronnie i nie wydał jeszcze całego zapasu poetyckiego, jaki przyniósł ze sobą. Polot jego myśli poszedł jednym szlakiem tylko — narodowym: śpiewał on uczucia, pragnienia, bóle, walki i nadzieje dzisiejsze, że tak powiem, wyłącznie dzisiejsze i w tem właśnie wielka jego zasługa koło odrodzenia Śląska. Prace jego i poezya dla literatury ogólno-polskiej są małe, ale zasługi dla idei narodowościowej wielkie, bo jego można porównać właśnie do tego siewacza, który po raz pierwszy dawno niezorany zagon obsiewa. Skiby na nim spiętrzyły się wysoko, brona nie w stanie była rozszarpać skłaczonych korzeni, chód przeto siewacza ciężki i nierówny, nierówny też siew, nierówne wschody, bo ziarno nie na jednaką głębokość zapada, ale na takiej ziemi piękne i zdrowe rodzą się plony. Obfitych można tam czekać zbiorów, gdzie siewacz miłości prawdę sieje, a głos jego wieczornej pieśni nie rozprasza, lecz skupia ludzi do wielkiej idei — jedności narodowej.

Odcień religijny poezyi J. Kubisza, na który już poprzednio zwróciliśmy uwagę, służący niejako za tło narodowe poecie, jeszcze bardziej zbliżył go do ludu i ułatwił zrozumienie podniesionych przez niego myśli.

Fr. Rawita.

SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Nowe uniwersytety ludowe
w Wiedniu i Londynie.

Uniwersytety ludowe, dążące do zapewnienia sposobności dalszego kształcenia się jednostkom, które ukończyły szkołę elementarną, od dawna z korzystnym bardzo skutkiem funkcyonują w Danii, Skandynawii i Ameryce. W ostatnich zaś czasach rozwijać się zaczęły pomyślnie w Wiedniu i Londynie. Wiedeński uniwersytet ludowy jest dziełem tamtejszego towarzystwa oświaty ludowej w połączeniu z uniwersytetem. Towarzystwo to urządza od dłuższego już szeregu lat odczyty dla związków robotniczych, uczniów rzemieślniczych i handlowych, oraz poparte przez docentów wiedeńskiego uniwersytetu przystępne dla wszystkich, kursy naukowe. Obecnie wystąpiło z projektem obszerniejszych tego rodzaju urządzeń. Odnośna petycya, podpisana przez połowę profesorów wszystkich fakultetów znalazła poparcie ze strony senatu akademickiego. Austryacki minister oświaty wyznaczył w r. z. na urządzanie tych popularnych wykładów sumę 6000 guldenów. Kierunek tego przedsiębiorstwa, mającego szerokim warstwom ludności przynieść wiedzę i oświatę, spoczywa w rękach komitetu wybranego przez senat akademicki i pojedyncze fakultety, a złożonego z profesorów i docentów prywatnych. Wykłady pomijać mają religijne, polityczne i społeczne kwestye sporne. Po wykładach następuje dyskusya, w której biorą udział słuchacze. Zapowiedziane już wykłady obejmują historyę grecką, rzymską, niemiecką, austryacką i francuzką, dramat grecki, „Fausta“ Goethego, Szekspira, malarstwo włoskie; dalej anatomię, fizyologię, bakteryologię, pierwszą pomoc lekarską, choroby dziedziczne, nerwowe i umysłowe, wreszcie botanikę, chemię, geologię, budowę machin, geometryę, prawo państwowe i prywatne oraz statystykę. Urządzono na razie dwadzieścia katedr w stolicy podług których później w kraju, a zwłaszcza w głównych ogniskach przemysłu mają być ustanowione dalsze kursy naukowe. Zwiedzający te kursy otrzymają świadectwa, projektowane jest także wyrobienie pewnych praw dla egzaminowanych słuchaczów.

Wyczerpujące i ciekawe dane o uniwersytetach ludowych w Anglii i Ameryce zawiera świeżo wydane dzieło dra Jamesa Russel'a, profesora przy uniwersytecie stanu Colorado. Na wstępie zaznacza autor, że początkowo w Anglii nie brak było ludzi, upatrujących w zakładaniu instytucyi, mających na celu podniesienie poziomu oświaty w sferach robotniczych, dzieło szatana, dążące do zburzenia politycznego, społecznego i moralnego porządku. Dziwić się temu nie można, jeżli się zważy obłudę i bigoteryę, szerzącą się w pewnych sferach angielskiego społeczeństwa, a mianowicie w duchowieństwie. Mimo to posiada Anglia już od r. 1854 swe „Working Men's Colleges“. Nastąpiły popularne odczyty James'a Staarta w r. 1869; w roku zaś 1871 przyłączył się uniwersytet w Oxfordzie, w r. 1875 uniwersytet w Cambridge do tego ruchu. W r. 1876 założone zostało „Towarzystwo londyńskie“ (The London Society for the Extension of University Teaching), urządzenie kursów letnich w Oxfordzie (1889) i t. d. Dążenia te napotykały początkowo na niemałe trudności; korzystną działalność paraliżował brak potrzebnych funduszów, obojętność publiczności i t. p. Wreszcie w r. 1890 wyznaczył rząd angielski sumę 15 miljonów marek na poparcie tej sprawy. Zapewniło to środki do urządzenia znacznej liczby kursów przemysłowych i przyrodniczych, szczególnie po małych miastach i wsiach. Największe jednak znaczenie posiada projektowane założenie uniwersytetu ludowego w Londynie. Rząd zapewnił swe poparcie i temu projektowi, podług którego stolica angielska otrzyma uniwersytet, złożony z 6 fakultetów, a oprócz tego urządzone będą popularne wykłady wieczorne. Dozór i kierunek tego przedsiębiorstwa powierzony będzie stałej komisyi. Wyżej wymienione „Towarzystwo londyńskie“ urządza zresztą od chwili swego założenia kursy naukowe zarówno w stolicy jak i w miastach prowincyonalnych. Razem z urządzonemi przez Cambridge, Oxford i Manchester odbyło się w r. z. w Anglii 700 tego rodzaju kursów a ogólna

Pocałowania brały usta moje,
Co się czerwonem piętnem w duszy znaczą,
Łącząc na zawsze z sobą ludzi dwoje,
Idących w życia wędrówkę tułaczą.

Pocałowania brały usta moje....
Oczy w szafiry źrenic się wpijały,
A na ramionach miałem, jak powoje,
Splecione ręce, niby wianek biały.

Dzisiaj, gdy szczęście odbiegło odemnie,
A duszę naszły ból i niepokoje —
Jest wspomnień światło, co rozjaśnia ciemnie,
Bo pocałunki brały usta moje!

31 czerwca 1895.

Józef Przyborowski.

W dniu 13 bm. nauka nasza poniosła cios wielce dotkliwy, przez śmierć śp. Józefa Przyborowskiego, b. profe ora i bibliotekarza b. szkoły głównej, ostatnio bibliotekarza najznakomitszej w kraju naszym prywatnej książnicy ordynacyi Zamoyskich. Akademia umiejętności w Krakowie na wiadomość o śmierci zasłużonego męża i członka swego, wywiesiła żałobną flagę.

Zmarły profesor nie należał do liczby osobistości znanych masom, po za ścisłą nauką stojącym; natomiast każdy, kto w sposób poważny zajmował się badaniami nad archeologią, numizmatyką, bibliografią, lub morfologią, etymologią, fonologią, oraz historyą ojczystego języka: kto chciał zasięgnąć wskazówek do badań źródłowych, lub opracować metodę naukową, chroniącą od błędów w zakresie powyższych specyalności: ten nie mógł nie wiedzieć o Józefie Przyborowskim i nie znać jego prac gruntownych i krytycznych: ten zarazem nie mógł nie żywić w swem sercu wdzięczności dla zgasłego profesora za jego uczynność, chęć przyjścia z pomocą każdemu i dzielenia się skarbami wiedzy, oraz bogatego doświadczenia.

Józef Przyborowski urodził się dnia 7 marca 1823 r. w Gałęzowie, pod Wrześnią, w WKs. Poznańskiem. Ukończywszy gimnazyum w Trzemesznie, udał się w r. 1843 na uniwersytet do Wrocławia i zapisał na wydział języków starożytnych. Ambrosch, Haase i Schneider byli mu naówczas przewodnikami. Równocześnie oddawał się studyom nad gramatyką porównawczą języków słowiańskich pod kierunkiem profesora Czelakowskiego, a nadto słuchał wykładów historyi od słynnego w swoim czasie Roeppela, a filozofii u Branissa i Elvenicha. Badanie i odczytywanie prastarych pomników języków słowiańskich, którym się oddawał z niezmiernym zapałem pod przewodnictwem prof. Czelakowskiego w domu tego uczonego, i studya w seminaryum filologicznem, uzupełniały szereg przedmiotów, stanowiących szerokie podstawy dla tylu cennych i samoistnych badań, jakiemi w przyszłości miał zasłynąć Przyborowski. Ciągła, bez wytchnienia, w tylu kierunkach praca i męczące zajęcie się przekładami Platona tak poderwały zdrowie młodego uczonego, że dwóch lat pobytu na wsi było trzeba, aby siły odzyskał i mógł, celem zdania egzaminu państwowego, do Wrocławia powrócić. Uzyskawszy w roku 1852 tamże stopień *pro facultate docendi* mianowany został wkrótce nauczycielem gimnazyum w Trzemesznie, a następnie w r. 1854 w gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu, gdzie wykładał języki: polski, łaciński i grecki, oraz historyę literatury polskiej. Już w owym czasie młody pedagog dał się tak korzystnie sferom naukowym poznać, że niezadługo po osiedleniu się jego w oznaniu powierzono mu zarząd archiwum grodzkiego, w którem nietylko miał sposobność gruntownego obeznania się z mnóstwem źródeł dziejowych, lecz i umiejętnego ich wyzyskania i ogłoszenia między r. 1857 a 1863 szeregu niezmiernie ważnych prac. Prace te od razu postawiły Przyborowskiego na stanowisku pierwszorzędnego badacza i znawcy staropolszczyzny, oraz bibliografii polskiej. Ściśle biorąc, Przyborowski był pierwszym, który właściwie znaczenie tych materyałów ocenił i sposób ich spożytkowania podał.

Przymioty, jakiemi się prace Przyborowskiego odznaczały, i poważne naukowe stanowisko, jakie już tak wcześnie zajął, nie mogły nie zwrócić na się uwagi komisyi oświecenia w Królestwie polskiem, która zajęta była w r. 1863 uorganizowaniem najwyższej w kraju uczelni, tj. szkoły głównej. Komisya usilnie się starała o ściągnięcie wyborowych sił naukowych, na jakie nasz kraj podówczas stało. Zaproszono wówczas i Przyborowskiego, który w charakterze lektora języka polskiego swe świetne wykłady w szkole głównej w r. 1863 rozpoczął, powierzony sobie mając jednocześnie urząd bibliotekarza biblioteki szkoły głównej, gdyż do zajęcia i tej posady godniejszego nad niego nie było. Mianowany w r. 1865 profesorem języka polskiego, musiał Przyborowski w r. 1869, z chwilą przeobrażenia szkoły głównej na uniwersytet i zwinięcia katedry języka polskiego, z zajmowanego stanowiska ustąpić, pozostawszy już tylko na urzędzie bibliotekarza. Wkrótce jednak musiał przyjąć posadę lektora języka niemieckiego przy nowouformowanym uniwersytecie. Opuściwszy w r. 1872 uniwersytet, przyjął urząd bibliotekarza biblioteki ordynacyi Zamoyskich, i na nim aż do zgonu pozostawał. Jak na każdem stanowisku, tak i tu znalazł zmarły profesor obszerne pole do pracy, zawsze płodnej w doniosłe rezultaty. Dzięki jego mrówczej pilności, biblioteka ordynacyi Zamoyskich należy do najlepiej zorganizowanych, a więc dających możność łatwiejszego korzystania ze skarbów w niej zawartych.

Uczeni znają wszystkie prace nieboszczyka, gdyż każda z nich była ważna, każda wnosiła do nauki rzeczy nowe lub inaczej oświetlone. Niewtajemniczonych w specyalne kierunki, jakie zmarły profesor uprawiał, a chcących choć z tytułu poznać dzieła jego, odsyłamy do numerów 4 i 5 „Wiadomości Bibliograficznych" z roku 1882, przez Paprockiego w Warszawie wydanych, gdzie zarazem są podane i inne szczegóły z powodu 25-lecia działalności prof. Przyborowskiego i jego przybycia do Warszawy, kompetentnem piórem pana A. B. Brzostowskiego skreślone.

Od r. 1874 do 1882 śp. profesor redagował „Wiadomości Archeologiczne", w których umieszczał opisy swych corocznych wy-

Wyprawa na Olymp.

Komedya fantastyczna w 1-ym akcie,

oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza

OSOBY:

Melpomena, muza tragedyi.
Thalia, muza komedyi.
Euterpe, muza śpiewu i muzyki.
Merkury.
Nimfa, służebna.
Poeta.
Farsalski, dyrektor teatrzyku.
Eimer, restaurator.
Głodysz, aktor.
Oczko, aktorka.
Filisterski, reprezentant publiczności.
Polip, reporter.
Zoilkiewicz, krytyk.

Rzecz dzieje się na szczytach Olympu za naszych czasów.

(Scena przedstawia szczyt góry skalistej, w głębi na podwyższeniu szczątki kolumnady w ruinie z portykiem, zamkniętym drewnianą kratą na dużą kłódkę. Nad portykiem napis: „Olymp, muzeum starożytności", z boku na tyczce deska z napisem: „Wstęp śmiertelnym wzbroniony", na bramie tablica z ostrzeżeniem: „Nie wolno dotykać bogiń ani żadnych okazów". Po scenie walają się pogruchotane kapitele i części posągów, zarosłe chwastami. Dekoracyę w głębi stanowi niebo, oblane u spodu blaskami zachodzącego słońca).

SCENA I.

Merkury (siedzi na odłamie skały, stary, przygarbiony, łysy zupełnie, w wyszarzanem odzieniu, w kapeluszu dziurawym ze skrzydełkami, z pękiem zardzewiałych kluczów u pasa, w rogowych dużych okularach i ceruje podarte trykoty; jednę nogę ma w berlaczu, obok na ziemi leżą dwie kule, na których się wspiera, chodząc po scenie i powłócząc chorą nogą; po chwili, zajęty swoją robotą). Sama Darachne nie dałaby już temu rady!... Okropnie się ta garderoba psuje!... Podły materyał!... Jakieś tam głupie trzy tysiące lat tylko, a już dziura na dziurze. Łataj i łataj i łataj i łataj, cóż z tego, kiedy się drze!... A przecież nago trudno chodzić, nawet bogom (przestaje cerować i podpiera sobie brodę kułakiem). Gdzie to te czasy, kiedyśmy jeszcze panowali!... Olymp był w całym majestacie, Zews rządził światem, a śmiertelni tam na dole spoglądali na nas ze czcią i przestrachem. Zews potrzebował tylko zagrzmieć, a wszystko plackiem przed nami padało (wzdycha). A dzisiaj co?... Degrengolada, klapa!... poszliśmy wszyscy na emeryturę, postarzeli się, zdziadziali i nawet małe bębny się nas nie boją, odkąd tam na dole zapanował nowy porządek (po chwili). Oj, to były czasy!... aż wspomnieć miło. A dziś, ot, rudera, pustka, gruzy. Dyabli wzięli cały Olymp i basta!... Bogowie się porozłazili, pomarnieli, zbankrutowali zupełnie i zostało trochę niedobitków, same dziady i kaleki, jak w „Dobroczynności." Piękny los dla nieśmiertelnych!... (ceruje dalej.) Dalibóg, nieraz mi się chce plunąć na to wszystko, rzucić mój głupi urząd i zleźć także pomiędzy ludzi, bo mi już ta rola kustosza olympijskiego dojadła do żywego. Siedzieć i siedzieć i pilnować ruin, w których jeszcze tych kilka głupich, starych muz się wałęsa i poziewa z nudów po całych dniach, i kłóci się o swoje dawne przywileje. Ha!... cóż dziwnego, zgorzkniało to, zetryczało na starość, bez zajęcia, więc zwyczajnie jak baby, tyr-tyr-tyr bez ustanku. Poczciwa Euterpe przynajmniej kozy pasie i na piszczałce sobie przygrywa; ona tu pewnie za chwilę już powróci, by nam mleka udoić. Erato szelma dała nura i została gdzieś szansonistką tam na dole. Cóż miała robić? — kwasić się tu z nami razem w muzeum starożytności?... Ho, ho!... ziółko było z tej Erato! Klio ogłuchła biedactwo; nic nie wie, co się na bożym świecie dzieje; z Terpsychory zostały tylko nogi, ale i to zreumatyzmowane, do niczego. Melpomena jedna trzyma się jeszcze jako tako i Thalia ujdzie, tylko że się okropnie rozleniwiła; nawet pończoch nie chce robić, chociaż jej autorowie mnóstwo bawełny dostarczają. A ja, Merkury, lotnonogi Merkury, mam artretyzm straciłem prawie wszystkie zęby i zostałem

cieczek i podawał wiadomości o ciekawszych okazach, znalezionych przez siebie przy rozkopywaniu cmentarzysk pogańskich.

Lecz nietylko u nas, lecz i zagranicą zmarły znany był, jako poważny uczony i z uczonymi innych krajów obszerne stosunki podtrzymywał. Szczególniej uczeni szwedzcy byli z prof. Przyborowskim w stosunkach. Ciągnęły ich szczególniej nader cenne zbiory zmarłego profesora, który, pracując na polu bibliografii, numizmatyki i archeologii, pozostawił po sobie liczne zbiory zdaniem znawców, nadzwyczajną wartość posiadające. Unikaty i największe rzadkości znaleźć w nich można.

Obok gruntownej i bardzo wszechstronnej wiedzy, posiadał śp. profesor pamięć nadzwyczajną zarówno w zakresie bibliografii jak i historyi. Tem się też tłómaczyła jego niezmierna łatwość orjentowania się w najzawikłańszych kwestyach bibliograficznych, ścisłość i krytycyzm wobec oceniania faktów naukowych.

Jeżeli prace Przyborowskiego, jako zbyt specyalne i szczegółowe, dostępne były tylko specyalistom, zatem szczupłemu kółku wybranych, to natomiast, przez studya nad Kochanowskim, imię jego stało się bardzo popularnem. Nikt gruntowniej nad Przyborowskiego nie zbadał ducha poetów zygmuntowskiej epoki, z księciem ich, Janem z Czarnolasu na czele, nikt nie nagromadził większego materyału do charakterystyki tejże epoki, oraz nie odszukał skrzętniej drogich sercu naszemu okruchów odległej przeszłości. Czterdzieści lat pracy poświęcił ukochanemu poecie Przyborowski, gdyż jego pierwsze o Kochanowskim studyum wyszło w r. 1857 a ostatni tom wielkiego dzieła, jeszcze w tej chwili znajduje się pod prasą. W studyach nad Kochanowskim włożył nasz czcigodny profesor całe swe serce i duszę; epoka zygmuntowska była mu najmilszą; dał nam też jej obraz piękny, skończony i żywy, który dla niego samego będzie trwałym pomnikiem działalności.

* * *

W pogrzebie wzięło udział wszystko, co kocha naukę, co umie oddać hołd cnocie i zasługom niespożytym. Uczeni sfer różnych, literaci, szczupła już dziś drużyna kolegów zmarłego, profesorów szkoły głównej, i inni wybitni obywatele kraju, ponieśli na swych barkach drogie szczątki Przyborowskiego na miejsce wiekuistego spoczynku; a profesor seminaryum warszawskiego, ks. Szlagowski, w pełnych prostoty i podniosłości słowach, językiem pięknym skreślił stanowisko naukowe zmarłego, zagrzewając młodzież do wejścia w ślady, któremi kroczył czcigodny profesor. Wśród wieńców, któremi cała trumna była okryta, wieniec od uczniów b. szkoły głównej był najwymowniejszy.

Jan Kubisz

poeta szląski.

II.

„W małych moich pracach literackich — pisze do mnie w jednym z listów poeta — złożyłem prawie całą duszę i wypowiedziałem cel życia: oto że pragnę przebudzenia się narodowego naszego ludu i że chciałbym się do tego przyczynić. Siły mam słabe i nie uczone, bo tylko niższe gimnazyum i seminaryum niemieckie skończyłem, ale na woli dobrej i chęci do tej najpiękniejszej w życiu człowieka pracy, mi nie schodzi. Gdybym był otrzymał wykształcenie uniwersyteckie, wtedy byłoby zemną i z pracą moją inaczej. Ale tak!...“

W tych krótkich słowach ocenia poeta sam siebie bardzo trzeźwo, nie według talentu i jego siły, które od woli człowieka nie zależą, ale według pragnień, chęci i pracy. Do każdego pisarza można dwojaką miarę przyłożyć: artystyczną i społeczną, a da się ona usprawiedliwić w każdem społeczeństwie. Sztuka łączy się z zasługą publiczną, cywilizacyjną, narodową często, ale nigdy może tak ściśle jak u nas, gdzie nigdy prawie nie bywa celem sama dla siebie, lecz staje w szeregu innych czynników do walki narodowej. W społeczeństwie, które o życie walczy, o najlepsze warunki dla jego rozwoju sztuka staje się bronią, potężniejszą tylko od innych, bo nie ciało, ale duszę ludzką i umysł atakuje. Ma ona rozmaite stopnie i od tych stopni często jej użyteczność zależy — i gdyby tego celu użyteczność, w najszerszem i najpiękniejszem pojęciu, nie miała przed sobą, wpływ jej stałby się w naszem społeczeństwie tak chłodnym i tak mało dostępnym dla ludzi, jak owe starogreckie i starorzymskie marmury, wypełniające sale muzeów europejskich. Ideał plastycznego piękna Greków i Rzymian mało nas zachwyca, a nie unosi prawie nigdy. Nasza sztuka musi nasze ideały uplastyczniać, nasze zadania i cele przyoblekać w formy piękne i na tej drodze kołatać do myśli i do serca ludzkiego.

W szerokiem pojęciu takich ideałów znalazł Jan Kubisz wdzięczne pole do pracy dla siebie. Jako poeta nie stawił on. wzorem nowożytnych synów Feba, przed sobą żadnych zadań i ideałów artystycznych, nie męczyło go pragnienie szukania nowych dróg, wciskanie myśli w nowe formy. Poezya była dla niego nie celem sama przez siebie, ale środkiem do celu. Zdało mu się, że myśl w rymy związana, wypowiedziana obrazem łatwiej trafi do serca ludzkiego i do głowy niż każda inna. Poezya jego nie wysoka, nie górna, nie porywająca za sobą: prosta, szorstka niekiedy i naiwna w swojej prostocie jak dusza ludu wiejskiego. Gdyby nie pewien sztuczny dodatek sielankowości — dar niemieckiej literatury, który zaraził całą słowiańską poezyę — możnaby ją uważać za monotonne nieco, ale wyraźne echo tamtejszego ludu.

Poeta nie rościł do nikogo żadnych pretensyi i wiedział doskonale, jaką skalą ma mierzyć swój talent niewielki. „W naszem obecnem położeniu — pisał do mnie — to co zrobiłem, jest pierwszym świegotem skowronka, który nuci wiosenną pieśń, jest niby pierwiosnkiem na niwie Szląska. Prace te mają m a ł e, c h w i l o w e znaczenie, ale publiczność przyjmuje je mile i wybacza niejedno, jak się wybacza pierwiosnkowi jego barwę nikłą i słabą. Niekorzystnie na mnie wpłynęło i to — powiada — że nie odebrałem wykształcenia polskiego, jakoteż że mam tak trudne i zmudne stanowisko, jakiem jest nauczycielstwo.“

---

kustoszem Olympu, odźwiernym, woźnym, dozórcą starych gratów i darmozjadem, który trykoty cerować musi na starość!.. To dola, co?... (wzdycha i przez nos nuci sobie; za sceną odzywa się w oddali głos fujarki pastuszej). Aha!... Euterpuchna powraca!... będzie świeże mleczko na wieczerzę. Evoe Bacche!... (przypominając sobie, kiwa głową). Hm, hm! gdzie to te czasy, kiedyśmy ambrozyę spijali!... Nec locus ubi Olympus fuit!... Hej, hej!..

SCENA II.

Merkury, Euterpe (wchodzi leniwym, powolnym krokiem, z miną ospałą i znudzoną, prowadząc na sznurku dwie kozy.)

Merkury: Jesteś, jesteś z powrotem?... gdzieżeś tak długo bawiła dzisiaj?

Euterpe (ziewając): Czegóż się miałam spieszyć?

Merkury: Cóż to nie wiesz, że siostry twoje głodne?... a i mnie coś ckliwo na wnętrzu. Prędzej, kozy doić!.. no, ruszajże się!

Euterpe: Kiedy mi się nie chce!.... (przeciąga się).

Merkury (wstając o kulach): Co to nie chce?... jakto nie chce?... Od czegóż tu jesteś?...

Euterpe: Ja jestem od pieśni, od muzyki, od poezyi!.., (z utęsknieniem wyciągając ramiona). Ach, poety mi dajcie, artysty!...

Merkury: Masz tobie!... czego jej się zachciewa!... poety!... na tym punkcie zbzikowały wszystkie. Zkąd ja im wezmę poetów i artystów, kiedy na Olymp żaden teraz nie zagląda?... Obywają się bez nas tam na dole.

Euterpe (rozmarzona): Kochanku mój, ach gdzieżeś ty?... przyjdź, niech ramieniem cię oplotę, na duszę zwieję cudne sny, na skroń dam liście złote!...

Merkury (niechętnie): Et idź lepiej kozy doić!

Euterpe: Merkury, przestań!... stajesz się trywialny. Zapominasz, kim jestem!

Merkury: Kim byłaś, chcesz powiedzieć. Dziś jesteś starą, wyranżerowaną muzą, o którą śmiertelni więcej nie dbają.

Euterpe: Starą?.. (z urazą). Bardzo proszę.

Merkury: No, przecież mnie nie weźmiesz na kawał! Odkąd nam ambrozyi zabrakło, nie mamy się czem odmładzać? Latka idą, wieku przybywa.

Euterpe: Mam w duszy młodość wieczną!...

Merkury: Tak, w duszy może, ale ciałko?... O, i ja byłem niegdyś młodym i pięknym!... A dziś, na posłańca bym się nie zdał, choć sługiwałem samemu Zewsowi (wzdycha i nos uciera tuniką.) Poszłabyś kozy doić. Słońce zachodzi!...

Euterpe: O losie!... być nieśmiertelną i kozy doić!... (zasłania sobie oczy).

Merkury: Tylko bez patosu, zostaw to Melpomenie!... Nie jesteś więcej muzą!...

Euterpe: Tylko czem?

Merkury: Antykiem!... zabytkiem starożytności. Mytem!... wszyscyśmy zeszli na stare rupiecie. Skończyło się nasze panowanie!

Euterpe: Bluźniercо!... (odwraca od niego głowę urażona i idzie ku ruinom Olympu).

Merkury [kicha]: A psich!... znowu się nabawiłem kataru przez ciebie. Każesz mi po zachodzie słońca siedzieć tu i czekać na twoje kozy!..

Euterpe: Któż ci zabrania iść na spoczynek?

Merkury: Kto?... obowiązek!... wiesz przecież, żem dozorcą Olympu teraz i jestem odpowiedzialny wobec potomności za waszą konduitę. Przyrzekłem Zewsowi, że was będę pilnował, abyście się nie uszkodziły i przechowały w możliwej całości, dopóki bóg bogów nie powróci na Olymp!... I tak mam zdefektowany wasz komplet. Wiesz, jaki nam wstyd zrobiła Erato, czmychnąwszy do śmiertelnych?

Euterpe: Erato miała rozum!... (ziewając), Tu można z nudów skamienieć, jak Niobe. Ach, artystę mi dajcie!...

Merkury: Co prawda, to prawda!.. paskudne nudy na Olympie. Żeby też kto zajrzał tam z dołu od dwóch tysięcy lat. Ani żywa dusza!... ani pies!... Idź-że raz te kozy wydoić! Będziesz miała rozrywkę.

Euterpe: Piękna mi rozrywka dla bo-

liczba słuchaczów wynosiła około 37,000. Co się tyczy prelegentów, wysyłanych przez stolicę. to domaga się Oxford obok stopnia akademickiego także specyalnego zapewnienia, że kandydat posiada zdolność do publicznego przemawiania. Zobowiązany jest najpierw przedstawić myśli zasadnicze, które rozwijać zamyśla w swym kursie. Następnie odczytuje całość lub część kursu przed szczupłem gronem osób kompetentnych; odczyt bywa gruntownie omawiany i w razie potrzeby poprawiany. Dopiero po załatwieniu tych formalności przyjęty zostaje jako prelegent i wysłany do miejscowości, gdzie początkowo pod kierunkiem doświadczonego nauczyciela próbuje sił swoich. W podobny sposób postępuje Cambridge.

W Danii istnieją uniwersytety ludowe od przeszło pół wieku. W pierwszej linii — pisze o tych uniwersytetach prof. Hartmann — zwraca naszą uwagę niezwykła swoboda i pozorny bezład, panujący przy zakładaniu, utrzymywaniu i prowadzeniu wszystkich tych instytucyi. Nie czytamy tam nic o „regulaminie", nic o „koncesyi", nic o „inspekcyi i nadinspekcyi", natomiast spotykamy tam po części bardzo znaczną „subwencyę państwową", w największej liczbie wypadków powiększoną przez pojedyńcze powiaty. Instytucye te powstały po części z zapisów, po części są przedsiębiorstwem pewnej liczby osób, w ostatnim wypadku zwykle towarzystwami akcyjnemi".

Dochodzi się do przekonania, że te z powyższych instytucyi, które się utrzymały do dnia dzisiejszego, wyrosły na gruncie rzeczywistych potrzeb ludu. Nie są to szkoły rządowe, dążące do wcielenia w umysły młodzieży pewnych przedmiotów naukowych lub nawet idei, które rząd uważa za korzystne dla siebie, za pomocą z góry obmyślonego programu z pobocznym zamiarem zapobieżenia niebezpiecznym prądom, szerzącym się w kraju. Są to przeciwnie zakłady naukowe, na których kierunek wyryły swe znamię przedewszystkiem osoby lub sfery, które powołały je do życia. Jeśli kierunek ten napotyka na wdzięczny oddźwięk w kraju, instytucya odnośna utrzymuje się przy życiu. — W przeciwnym razie zamiera po mniej lub więcej krótkim żywocie. Jeśli się cieszy powodzeniem i licznym udziałem słuchaczów, wtenczas na żądanie otrzymuje pomoc od rządu. Tak więc mówić nie można o ogólnym duchu, przenikającym te instytucye. — W każdym jednak razie dają się wyróżnić dwa prądy: starszy, pozostający pod wpływem osobistości Grundtvig'a. pierwszego założyciela duńskich uniwersytetów ludowych, mający przedewszystkiem na celu religijne obudzenie ludu, i młodszy, kładący główny nacisk na umysłowe wykształcenie.

W okresie pięćdziesięcioletnim od r. 1844 do 1894 wykładało ogółem na duńskich uniwersytetach ludowych 1600 do 1800 nauczycieli i 500 do 600 nauczycielek. Liczba uczniów wzrastała stale. Ogółem zwiedziło te zakłady w ubiegłem pięćdziesięcioleciu około 110,000 osób, a mianowicie 75,000 w półroczach zimowych i 35,000 w półroczach letnich. Te same mniejwięcej liczby oznaczają stosunek pomiędzy chłopcami a dziewczętami, uczęszczającymi do tych zakładów naukowych. Jeśli się zważy, że podług spisu z d. 1 lutego 1890 ludność właściwej Danii wynosiła ogółem 2,172,380 głów, to wyżej przytoczone liczby słuchaczów na duńskich uniwersytetach ludowych przedstawiają się jako bardzo pokaźne. Państwo dopłaca od 1892 r. 120,000 koron rocznie.

O północnych tych zakładach naukowych w ogóle pisze jeden ze znanych pedagogów niemieckich co następuje: „Od naszych szkół wieczornych (Fortbildungsschulen) różnią się te uniwersytety ludowe bardzo korzystnie tem, że zwiedzanie ich jest dobrowolne, oraz że nauka w nich nie ogranicza się na kilku wieczorach w tygodniu, lecz podczas zimy udzielana bywa przez dzień cały: w języku ojczystym, w historyj powszechnej i w historyi ojczystej, w geografii i naukach przyrodniczych, w fizyce, chemii, hygienie, w arytmetyce, kaligrafii i rysunkach, a nawet w śpiewie i gimnastyce ćwiczenia odbywają się codziennie. Zakłady te znajdują się po większej części na wsi; uczniowie, młodzi ludzie w wieku od 18 do 25 lat (latem młode dziewczęta) mieszkają u kierownika zakładu, który pospołu ze swą żoną baczną zwraca uwagę na moralne wykształcenie, powierzonej swej opiece młodzieży. Są to początkujący rzemieślnicy, rolnicy i robotnicy, którzy tutaj nabywają głębszego zrozumienia pracy cywilizacyjnej całego narodu, całej ludzkości. Nie małe także posiada znaczenie, że w zamkniętych tych zakładach budzi się i wzmacnia poczucie wspólności, świadomości narodowej i miłości ojczyzny."

I angielskie uniwersytety ludowe spotkały się z pochlebną oceną. Tak pisze Norwegczyk prof. J. Mourlty Vold, który w lecie 1892 r. zwiedził Oxford: „Jaka uwaga, jaki zapał podczas wykładów, jaka energia przy pracy, jakie zainteresowanie, jaki humor i jaka tolerencya w dyskusyi, jaka wesołość podczas rozmów i na wycieczkach! Jednem słowem: jakie życie, jakie zdrowie, i jakie ożywienie! Zebranie tych uczniów i profesorów porównać by można z starożytną ucztą grecką". A duchowny pewnej małej parafii w Nowej Anglii, dokąd ruch ten przeniósł się za starej metropolii, pisze o wynikach kursu z historyi nowoczesnej, wykładanej przez cztery miesiące w jego wiosce: „Dziesięć lat takich kursów, a jak ogólne wykształcenie byłoby ich wynikiem! Kobiety i mężczyźni, obejmowaliby wówczas swym wzrokiem z pagórków i dolin naszej Nowej Anglii świat cały, skandale i drobne interesa zaściankowe utraciłyby swój urok, zbogaciłoby się życie umysłowe i podniósł poziom moralności."

W klasycznym kraju szkół i profesorów, w Niemczech, ruch dążący do wytworzenia uniwersytetów ludowych, najpóźniej zapuścił korzenie. Tłomaczy się to głównie brakiem inicyatywy, cechującym Niemców, oczekujących zawsze i wszędzie pierwszego popędu z góry, ze sfer rządowych. Rząd zaś zdaje się upatrywać w tych instytucyach nowe siedlisko socyalistycznej zarazy i nie spieszy się z inicyatywą w tej sprawie. W ostatnich jednak czasach ujawnia się i w Niemczech dość ożywiona agitacya na tem polu. Myśl tę krzewi przedewszystkiem Towarzystwo Komeniusza, które na ostatniem swem zebraniu, odbytem przed kilkoma tygodniami, ułożyło już program uniwersytetu ludowego w Berlinie.

I w naszem społeczeństwie kiełkować zaczyna powoli myśl wytworzenia instytucyi, mającej na celu podniesienie poziomu ogólnego wykształcenia w szerszych warstwach ludności. Obawiać się jednak należy, że jak większa część myśli zdrowych, i ten projekt zmarnieje u nas, zanim przybierze cokolwiek wyraźniejsze kształty.

X.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Ruch kobiecy na ziemi galicyjskiej.

Lwów, 31 maja.

(Stowarzyszenie kobiet i ich rozwój. — Wadliwe urządzenie. — Jak w Krakowie? — Kongres berliński. — Poprawmy się.)

W stolicy naszej gwarno było do niedawna, teraz zaczynają upały osłabiać energię działania, ręce opadają, każdy jeno wzdycha do wyjazdu na wieś — rozumie się z wyjątkiem biedaków. Kobiety zajęte przygotowaniami do willegiatury zapomniały o wszystkich posiedzeniach, których miały po trzy na każdy dzień do niedawna. — A to u was zapewne kobiety na tych częstych posiedzeniach znakomite wypracowują dzieła? — powiecie. Takby być powinno — ale czy jest? Rozpatrzmy się w tej sprawie. Mamy tu kilka stowarzyszeń kobiecych i tak: *Stowarzyszenie nauczycielek*, młode ale *de facto* najczynniejsze (dowód, że przyzwyczajone do obowiązkowej pracy kobiety lepiej rozumieją zadania swoje) — *Czytelnię dla kobiet*, trochę zapleśniałą, — *Ognisko kobiet*, bardzo postępowe, — *Pracę kobiet*, stowarzyszenie na liście skazanych na śmierć z atrofii (a może jedynie z apatyi?) — no i cóż jeszcze za stowarzyszenie? — żadne; w Krakowie takież same, to jest tej samej nazwy stowarzyszenia z dodatkiem *Koła Pań towarzystwa Szkoły ludowej?* — Jakto? więc we Lwowie Koła pań nie ma? Czyżbym całkiem o tem zapomniała? Nie! opuściłam je umyślnie, nie wiem bowiem, gdzie właściwie we Lwowie szukać tego Stowarzyszenia „Koła pań szkoły ludowej", gdyż stałej siedziby, lokalu stałego nie posiada. Podobno kątem mieszka w Czytelni dla kobiet. Nie byłoby w tem nic złego, a nawet ze względów oszczędnościowych bardzo chwalebnie, lecz przypomina się tu przysłowie: „*skąpy dwa razy traci.*" Ile razy kto chce się zapisać do Koła pań, nie wie, gdzie się udać z tem, i nikt mu poradzić nie umie. Do Czytelni? tam jest dozorczyni, która pieniędzy nie odbiera. Nie ma zupełnie wyznaczonych dni i pory, kiedyby się do towarzystwa szkoły ludowej zapisać można i złożyć roczną składkę 1 złr. Towarzystwo wogóle zamało występuje na zewnątrz, nie posiada np. najzwyklejszej tabliczki z napisem na drzwiach lokalu, w którym przebywa. Nieład cechuje całe to „Koło pań" we Lwowie. — Inaczej i trochę lepiej jest z „Kołem pań" w Krakowie. Ma ono swój lokal, ogłasza g d z i e i k i e d y przyjmuje się składki, wydaje jednodniówki i książeczki, z których dochód przeznacza na budowę polskiej szkoły w Białej, a poprzednio przeznaczało na gimnazyum cieszyńskie. Również „Czytelnia dla kobiet" w Krakowie ma jeszcze tę świeżość młodości i ruchliwość, które cechują u nas zawsze młode instytucye. Toż pogadanki, toż odczyty odbywają się tam często, a członkowie wszyscy biorą w życiu stowarzyszenia gorący udział. We Lwowie przeciwnie. Mało tu pracy poważnej, dużo zabawy i krzyku. Kto gadatliwszy, ten to znakomitszy i większy ma wpływ, który niestety obniża powagę czytelni. Odczytów, pogadanek, wspólnego czytania i zdawania sprawy z ruchu literackiego, jakto się z początku, zaraz po założeniu czytelni praktykowało, tego nie ma. Krzykactwo uprawia się tu na wielką skalę, a to zniechęca innych. Wydziału się nie zmienia, nie odświeża, członkowie jego są prawie ci sami od lat ośmiu a nawet od początku istnienia Czytelni. Walne zgromadzenie ledwo się odbyło jedno na

dwa lata. Cóż dziwnego, że po dziesięciu latach nie ma nawet dziesięciu dziesiątek członków? Zasługą i cichą pracą nie trafia się do czytelni, jeno blagą.... i tak u nas wszędzie. Jedynie Czytelnie ludowe zaopatruje i dba o nie pilnie jedna z pań towarzystwa szkoły ludowej i ta chociaż w części ratuje opinię „Koła“.

Powiedziało się wyżej, że „Praca kobiet“ jest na liście skazanych na śmierć. Historya ta sama co gdzieindziej, — kto chwycił, że się tak wyrazimy, instytucyę za uszy, ten nią trzęsie. Podobało się pewnej rządzącej w „Pracy kobiet“ pani z wielkiej bigoteryi, jaką się odznacza, oddać całą tę wybornie uposażoną, najlepiej u nas pod względem materyalnym stojącą instytucyę (bilans zeszłoroczny wykazuje czystego dochodu 2954 złr. 49 cent., a samych subwencyi ma towarzystwo 1400 złr. rocznie) — zakonnicom i w miejsce dotychczasowego bazaru, który jest jedynem miejscem sprzedaży ręcznych robót kobiecych, urządzić dormitaż na 10 łóżek dla ubogich szwaczek. Dormitaż taki jest rzeczą dobrą i pożądaną, ale mógłby on istnieć osobno pod zarządem zakonnic, a „Praca kobiet“ ze szkołą i bazarem, jako instytucya świecka, istnieć powinna, jak dotychczas, odrębnie. Niestety, jednostka dla swych własnych widzimisię rządzi opacznie, a wydział jest zajęty równocześnie w innych stowarzyszeniach tak dalece, że na nią wszystko zdaje i nie wiele się interesuje tą sprawą. Ekonomiczne i społeczne względy, chociaż są arcyważne, stoją u nas na ostatnim planie, a drobnostki, o które nogą zawadzić nie warto, ustawiają się z hałasem i tartasem na forum.

O kongresie berlińskim szeroko u nas mówią i nawet układają wysłanie dwóch pań, które, ile razy zostaną na jaki zjazd wydelegowane, powracają, urządzają zebranie w Czytelni i mówią: — Widziałyśmy, poznałyśmy, lecz tego powiedzieć nie możemy? — Co za tajemnica? spytacie. — Były we Warszawie i przyniosły ze sobą strach, co ma tak wielkie i tak brzydkie oczy! Darujcie pesymizm, lecz doprawdy, gdy patrzę na to, co kobiety czynią za granicą, żal mi niesłychanie i rozgoryczam się, że w moim kraju bawią się tylko.

Nareszcie będziemy mieć gimnazyum żeńskie, — to może deską ratunku się stanie. Światła! koniecznie światła! Powagi w działaniu i w dążeniu! Wytrwałości! Niezasklepiania się w drobiazgach!

W przyszłej pogadance przedstawię stosunki nauczycielskie wśród kobiet.

J. Aleksota.

Kronika wiedeńska.

2-go czerwca 1896.

Parlament i delegacya w Peszcie. — Węgry contra Wiedniowi.

Parlament przyjąwszy reformę wyborczą i narobiwszy awantur z powodu rozruchów studenckich w uniwersytecie, wybrał członków do wspólnej delegacyi i na parę dni zamknął swoje skrzypiące podwoje. Antysemityzm, wprowadzony do Rady państwa przez Luegera ma tę dobrą stronę, że przynajmniej większość posłów, szczególniej polskich, siedzi teraz w sali i pilnuje uważnie każdego zdania wypowiedzianego przez któregoś z posłów antysemickich. Raz tylko Koło polskie fatalnie zblamowało swoją większość. Było to przy trzeciem czytaniu reformy wyborczej, przy głosowaniu nad wnioskiem jednego z posłów czeskich, aby wyborcy głosowali tajnie. Rząd i Koło polskie sprzeciwiało się temu. Przyszło do głosowania i przeszedł niespodziewanie wniosek Czecha, bo polskich posłów na 59 brakowało 37. Prezes Koła, eksminister Zaleski, wysłał zaraz kurendą reprymandę każdemu z posłów, napominając ich do „spełnienia przyjętych obowiązków“. Obecnie Izba panów rozstrzygać będzie nad tym paragrafem i od niej ostatecznie zawisło, — tajnie czy jawnie odbywać się będzie przyszłe na posłów głosowanie.

Dzisiaj w Peszcie cesarz otworzy mową tronową wspólne delegacye. W przemówieniu swojem zaznaczył smutek z utraty drogiego brata Karola Ludwika i radość z doskonałych stosunków przyjaźni z ościennemi mocarstwami. Co do trójprzymierza, to istniejący pokój w Europie tylko jemu podobno zawdzięczamy itd. itd.

Wszystkie pisma węgierskie bez różnicy barw, — wszystkie w sprawach narodowych mają jeden, to znaczy ultraszowinistyczny charakter, — potępiają i plwają na Luegera za jego ostatnią mowę w Radzie państwa, gdzie wystąpił mówca przeciw „Millenium“ w Peszcie. „Pester Lloyd“ przedewszystkiem występuje z całą zaciekłością madyarską przeciwko cierpliwemu austryackiemu rządowi i jego mężom stanu, którzy jednego słowa stosownego nie znaleźli dla odparcia wywodów ciętego antysemity. Jedno z radykalnych pism pisze w artykule p. t. „Nie kupujcie w Wiedniu“, aby na wszystkich ulicach porozlepiać afisze z nawoływaniem, że kto cokolwiekbądź kupuje w Wiedniu, obraża swoją ojczyznę, bo wspiera miasto, w którem hoduje się nienawiść do Węgier. Trzeba jednak wiedzieć, że wszystkie pisma węgierskie są tak samo jak i wiedeńskie w rękach żydów, — po większej części galicyjskich, którzy stali się zaciekłymi pionierami wszech-węgierskości, ale mogą być w razie przewrotu i jej przeciwnikami. Moralność pism węgierskich równa się moralności ich rządu. Razem idą one tylko w gnieceniu słowiańszczyzny i urządzaniu takich hocus pocus patryotycznych, do rzędu jakich zaliczyć wypada i Millenium węgierskie — popierane niestety i przez kilku dziennikarzy polskich, którzy zapomnieli widać o kradzieży Morskiego Oka!

Xi .

TO I OWO.

Międzynarodowy zjazd kobiecy w Berlinie.

W Berlinie odbędzie się od 19 do 27 września br. międzynarodowy kongres kobiet, — pierwszy na niemieckiej ziemi. Celem zjazdu jest wymiana zdań o różnorodnych zakresach pracy kobiecej, ruchu i dążnościach kobiet w różnych krajach. Program jest następujący.

Od dnia 15 do 27 września 1896.

Pierwszego wieczora. (Sobota) Powitanie delegowanych. Lista obecności. Rozdział kart członkowskich i porządków dziennych na wszystkie 7 dni. Przyjmowanie przez Zarząd piśmiennych życzeń od delegowanych i zapowiedzi sprawozdań. Wybór zmieniającego się prezydyum na wszystkie 7 dni. Towarzyskie zebranie.

Pierwszego dnia od 9 rano do 12: Referat wstępny o stanie ruchu kobiecego w obecnym czasie. Referat o pielęgnowaniu małych dzieci i o wychowaniu. O żłóbkach i ogródkach dziecięcych, schroniskach dla dzieci i dla młodzieży — Stowarzyszeniach opieki nad dziećmi. Kierownictwo zabaw dziecięcych na boiskach przez kobiety.

Sprawozdania ze wszystkich krajów — Dyskusya.

Wspólny obiad.

O 5-tej zwiedzenie odpowiedniego działu wystawy.

Dzień drugi: Szkoły ludowe. Szkoły żeńskie i gimnazyum żeńskie. — Położenie nauczycielek w tych zakładach. Szkoły wykształcenia zawodowego. Seminarya dla bon i nauczycielek.

Dzień trzeci: Studya naukowe w szkołach wyższych i uniwersytetach. — Wykształcenie lekarek, dentystek, dozorczyń chorych, akuszerek. — Stan obecny tego wykształcenia i statystyka. — Szpitale prowadzone przez kobiety.

Dzień czwarty: Hygiena domowa i publiczna. — Dążenia do wstrzemięźliwości, pożywienie ludu, zabawy ludowe. — Szkoły kucharskie i gospodarskie, szkoły owocarskie i ogrodnicze. — Kuchnie ludowe. — Sanatorya. — Kolonie letnie.

Dzień piąty: Kwestya robotnic i płacy w przemyśle, handlu i rzemiosłach. — Instytucye dobroczynne dla robotnic. — Organizacya stowarzyszeń zawodowych. Sprawa służących. — Kwestya obyczajności.

Dzień szósty: Sprawa unormowania stanowiska kobiety w prawie cywilnem, handlowem, stowarzyszeniowem.

Udział kobiet w dobroczynności publicznej, w radach szkolnych i prawie opieki.

Dzień siódmy: Udział kobiet w rozwoju nauki, literatury i sztuki. Współdziałanie kobiet w towarzystwach pokoju powszechnego.

Powyżej przytoczone sprawy będą na kongresie wyłożone w krótkich relacyach, w których przedstawicielki różnych krajów zdadzą sprawę o stanie danej kwestyi w swoich krajach.

Posiedzenia kongresu trwać będą od g. 9 do 12, po przerwie zaś obiedniej nastąpi zwiedzanie albo instytucyi i zakładów, stojących w związku ze sprawami poruszonemi na kongresie, jak np. szkół kobiecych, kuchni ludowych, szpitali, pogotowi ratunkowych, ochronek, przytułków, albo wycieczki na wystawę i w okolice Berlina.

Kongres przedstawia się zatem bardzo zajmująco i uczestnikom swoim przyniesie niewątpliwy pożytek.

* * *

Choroba górska.

Dr. Drasche, prof. medycyny, zajmuje się chorobami naszego wieku; nie chodzi mu o okrzyczane a niesłuszne twierdzenie, jakoby nasz wiek odznaczał się szczególnym rozwojem chorób nerwowych, jeno przedmiotem studyów swoich uczynił on chorobliwe objawy, występujące u naszych współczesnych wyłącznie tylko wskutek zajęć i wysiłków nieznanych w dawnych wiekach. Takiemi zajęciami są np. jazda balonem, praca w warsztatach technicznych, w których robotnik oddycha zgęszczonem powietrzem, a wreszcie wycieczki w góry, które przedsiębierze obecnie mnóstwo ludzi. Te ostatnie dają d-rowi Draschemu materyał do następujących uwag: Osobiste wrażenia i spostrzeżenia czynione na innych podczas wycieczek w wysokie góry, są tak charakterystyczne, że składają się na wykończony obraz pewnej oznaczonej choroby. Zaczyna się ona ciężkim znużonym chodem, nogi zwieszają się u korpusu, jakby były z ołowiu, ledwie je podnieść można, oddech staje się utrudniony i dusznym, a równocześnie puls bije przyspieszonom tętnem. Turysta wkrótce wyczerpuje siły, z konieczności musi stanąć albo usiąść, poczem chorobliwe objawy natychmiast ustępują. Po rozpoczęciu dalszego wspinania się, występują one jednak napowrót a dołącza się też do nich bicie serca, szu-

w uszach, zawrót głowy, mdłości i nudności. Po nowym wypoczynku i pozornem wytchnieniu, dalszą drogę odbywać można tylko z największym wysiłkiem. Nakoniec staje się zupełnie niemożliwą, bo następuje ogólne znużenie, trwoga i upadek na duchu, krwiotoki z nosa a nawet omdlenia, które zmuszają do odwrotu.

Choroba górska występuje u różnych ludzi na różnych wysokościach. Kiedy np. wstępując na góry z dolin uczuwają ją nieprzyzwyczajeni już na wysokości 2,000 lub 3,000 metrów, to doświadczeni turyści i przewodnicy wcale jeszcze nie czują różnicy. To też z czasem można się do takich wysokości przyzwyczaić. Natomiast na wyżynie ponad 3,000 metrów, każdy człowiek ulega chorobie górskiej, skoro tylko cokolwiek szybciej idzie i w ogóle się natęża.

Rozrzedzone powietrze i brak tlenu wywierają przedewszystkiem wpływ na organizm ludzki podczas wstępowania na wysokie góry. Przez to jednak nie jest jeszcze wyjaśnionem, jakim sposobem występujące na jaw chorobliwe przypadłości natychmiast ustępują, skoro człowiek usiądzie lub się położy, a znowu powracają, gdy człowiek zrobi choćby najmniejszy ruch. Chociaż skurcz mięśni połączony jest ze zużyciem pewnej ilości tlenu, a zatem powiększa i tak istniejący w górach brak jego, to jednak nie wystarcza do określenia całego zjawiska. Badania w tym względzie doprowadziły do cennych rezultatów. Na wysoczyznach jest wprawdzie ciśnienie powietrza i napięcie tlenu mniejsze, niż na stokach i dolinach, ale wskutek tego niekoniecznie musi się objawiać brak materyału oddechowego. Zjawia się on dopiero wówczas, gdy organizm wdycha go mniej, wydycha zaś tyleż albo więcej, niż przedtem. Zapobiedzby można przeto górskiej chorobie tylko w ten sposób, gdyby do organizmu można było doprowadzić większą ilość tlenu, albo zmniejszyć jego użycie.

* * *

Samobójstwo indyjskiego księcia.

Przed miesiącem odebrał sobie życie maharadża z Patny, powody jednak tego samobójstwa dopiero teraz wychodzą na światło dzienne. Władca z Patny był tak zw. „niezawisłym“ księciem. Każdy taki indyjski książę otrzymuje od rządu angielskiego do swego boku agenta politycznego, który pośredniczy między Anglią a księciem i w każdym wypadku służy księciu swą... radą. Maharadża, bez wyraźnego zezwolenia agenta nie może zaprosić żadnego europejczyka, żadnej podróży przedsiębrać, żadnej mowy wygłosić, żadnego bankietu wydać. Otóż polityczny agent angielski w Patnie nadużywał swej władzy w niemożliwy sposób. Wzbraniał maharadży nawet najspokojniejszej rozrywki. Pewnego dnia przyniósł agentowi jego szpieg list maharadży, wystosowany do rządu angielskiego, a błagający o odwołanie tego agenta. Wściekłość agenta nie miała granic; w obec służących obsypał maharadżę prostemi obelgami. Odtąd zaczęło się straszne życie dla maharadży, agent odmawiał mu wszystkiego, a nawet ogołocił go z funduszów, gdyż na swój użytek zabrał mu jego kasę. Maharadża wreszcie, nie umiejąc dać sobie rady, przyprowadzony do ostateczności, odebrał sobie życie. Wypadek ten wywołał wśród innych książąt wielkie oburzenie, a rząd angielski dokłada wszystkich starań, aby wzburzone umysły uspokoić. Pisma angielskie milczą o tem zajściu, chociaż krajowa prasa indyjska obecnie tylko o niem pisze.

* * *

Oświata ludu dokona cudu.

Koniec świata, i to już w najbliższej przyszłości, przepowiada wychodząca w Krakowie „Gazeta dla wszystkich“. Ma to być jak w nagłówku powiedziano, „pismo chłopskie“. Redakcya tego pisma raczy w ostatnim numerze swoich czytelników następującą moralną strawą:

„Demonizm. Co się niedowiarki dawniej nakpiły z djabłów czyli demonów, co się nawyśmiewały z tych, którzy wierzyli w ich istnienie, a wiecie co teraz robią? Na swoich tajemnych zgromadzeniach we Francyi, Anglii, Ameryce i innych krajach oddają cześć szatanowi, a nawet utrzymują, że się on im widocznie ukazuje podczas tych zgromadzeń. Inni znowu dla zabawki zajmują się wywoływaniem duchów, i z tego zapadają w ciężkie choroby, albo tracą zdrowe zmysły. Przed kilku laty bezbożni ludzie dla zniewagi Ojca świętego postawili w samym Rzymie pomnik dla pewnego mnicha odstępcy, który żył kilkaset lat temu i zwał się Giordano Bruno. Przy uroczystem odsłonięciu tego pomnika obnoszono chorągiew, na której był wymalowany djabeł, zaś nierządnice, wziąwszy się za ręce, tańczyły wkoło pomnika (!). Kobiety noszą tam na kapeluszach czarne pióra w ten sposób, aby się wydawało, że mają rogi. Należy przypomnieć, że objawienie św. Jana wyraźnie przepowiada, że pod koniec świata będzie szatan cześć odbierać. Wszystko się sprawdza, nawet to, co uważano za niemożliwe!“

No! a myśmy znowu nie przypuszczali, aby ktoś takiemi andronami lud chciał oświecać! Całe szczęście, że chłopi galicyjscy o tem „chłopskiem piśmie“ pewnie nawet nie wiedzą!

Na Wyłomie.

(Koleżeństwo w prasie. — Przyczyny rozstroju. — Jedenaste przykazanie poznańskie).

My, dziennikarze, nie możemy poszczycić się koleżeństwem wzorowem. I nie ma w tem zaiste nic dziwnego. Inni modlą się przed tym lub owym ołtarzem politycznym, lecz o bóstwa swoje bić się nie potrzebują, my z urzędu walczyć musimy, walczyć codziennie nieomal, walczyć najdotkliwszą bronią, bo drukowanem słowem. I tak w tej walce upijamy się nieraz wzajemną niechęcią, że trudno nam mimo wszelkich teoretycznych rozumowań i refleksyi wymówić ten wyraz, którym np. lekarz wita lekarza, prawnik prawnika, — trudno nazwać kolegą człowieka, który przed chwilą może w drastyczny sposób ogłosił światu, że ten i ów z nas jest zerem politycznem, lub zręcznym manewrem dziennikarskim sparaliżował pomysły wojenne, plany i zamiary nasze. Azresztą ten nasz zawód niewdzięczny stał się zbiornikiem najrozmaitszych żywiołów dwuznacznych, które rycerską polemikę zamieniły w jakieś nocne zasadzki i napady, i w ktorych arsenale więcej znajduje się kamieni i pałek, niż szpad i floretów. Ci to publicyści zaułkowi rozmnożyli się z przerażającą szybkością w dziennikarskim świecie i tak zatruli, tak skwasili koleżeńskie stosunki, że nie ma chyba drugiego zawodu, gdzie płaz nienawiści i pogardy tak często głowę podnosi i syczy. A społeczeństwo tak się przyzwyczaiło do walki brutalnej, rozdzierającej wszystkie węzły koleżeństwa i zamieniającej przedstawicieli różnych idei w wrogów dyszących odrazą, że nieraz pojąć nie może i dziwi się i podejrzywa, gdy w dziennikarskiem bagienku znajdzie się kilku ludzi rozsądnych, trzeźwych i uczciwych, którzy jednej barwy politycznej nie noszą, a mimo to obrusa między sobą nie przecinają i po za murami redakcyi, po za kordonem polityki przyjaciółmi się mienią. A nie ma chyba drugiego miejsca na tym Bożym świecie, gdzie zacietrzewienie koteryjne i jadowita walka dziennikarzy dokonała w tym względzie gorszego pomieszania i wypaczenia pojęć, niż Poznań, — to Eldorado Liliputów udających olbrzymów, ta mroczna piwnica, gdzie tylko nietoperze i koty ruszają się śmiało, a *ludzie* rozbijają sobie czoła w ciemnicy. Ot, podam wam drobny przykład z najświeższych czasów.

Dwa lata temu w dziennikarskim świecie panowało takie rozdarcie, że w całem mieście nie było prawie dwóch redaktorów, z których jeden spotkawszy drugiego uchylał kapelusza. Jakiś szał nienawiści ogarnął całą prasę, jakiś wstręt wzajemny tak wgryzł się w serca publicystów, że tam nawet, gdzie chodziło o obronę materyalnych interesów całego stanu, o zabezpieczenie bytu dziennikarskich inwalidów i starców, zwołanie wspólnej narady napotykało nieprzezwyciężone trudności. W owej to chwili zjawił się na gruncie poznańskim publicysta warszawski, któremu zdawało się niestety, że miasto nasze należy do Europy. Skuszono go złotemi widokami, przemówiono do jego uczuć obywatelskich, wskazano na doniosłe znaczenie prasy w pruskim zaborze, witano jako siłę, mającą zająć wybitne, kierujące stanowisko w Księstwie, — i oto zdolny dziennikarz opuścił nader korzystny teren dawnej działalności swojej, szanującą talent jego publiczność i przywiązane do pióra jego redakcye, by naszej dzielnicy służyć doświadczeniem swojem, rozumem i talentem. — Wstąpiwszy do tego organu prowincyi naszej, który mimo swej chwiejności i bezkrwistości zajmuje najwybitniejsze stanowisko w prasie poznańskiej, zjednał sobie w krótkim czasie opinię pierwszorzędnej siły dziennikarskiej, a w kierunku literackim złożył kilkakrotnie dowody krytycznego zmysłu i gruntownej wiedzy, odbijającej korzystnie na jałowym gruncie dyletantyzmu naszego. I stanowisko jego byłoby niewątpliwie coraz silniejszem i byłyby się spełniły wszystkie nadzieje, któremi kuszono go u bram nowej działalności, gdyby człowiek ten nie był zapomniał o jedenastem przykazaniu poznańskiem: „Będziesz nienawidził redaktorów innych obozów z całej duszy i będziesz przeklinał nietylko ich samych lecz braci ich, dzieci i powinowatych“. Europejczyk po europejsku pojmował obowiązki dziennikarskie i lubo służył na wskroś sumiennie pismu swojemu, lubo nie żałował ostrza swej szpady wobec przeciwników różnych odcieni, — nie wahał się po za murami redakcyi, w obrębie towarzyskiego życia zawiesić broni na kołku i w różnych obozach, czy to więcej na prawo, czy więcej na lewo posuniętych, zadzierzgnąć węzły przyjaźni. Sympatycznemu koledze udało się przełamać kordony, któremi każda redakcya poznańska odgraniczała się długo od reszty dzienników, i stał się fakt u nas niezwykły, że nieraz spotykałeś na ulicy lub w kawiarni dwóch dziennikarzy różnych obozów w serdecznej harmonii. Poznań zaczął się dziwić, potem podejrzywać, potem sarkać. Za plecami „nowatora“ odezwał się syk sceptycyzmu i niechęci, — kręcono głowami w miarodawczych sferach i nagle ujrzał dzielny publicysta, że pozycya jego się chwieje, że przyszłość, w imię której go powołano, usuwa się przed nim, że ci, którzy mu sami ofiarowali wicekrólestwo w organie, któremu służył, a ukazywali prezydyalne krzesło w oddali, zaczynają w ukryciu minować stanowisko jego i na plan drugi go spychać. Więc rozżalony, wobec złamanych obietnic, wobec operetkowych

stosunków prowincyi naszej, wobec skrzywionych pojęć i dusznych klatek, w których żyć mu kazano, rzucił pióro niewdzięczne i opuścił redakcyę.

Nagłe ustąpienie znanego publicysty wywołało w całem mieście powszechną sensacyę. Przez kilka dni komentowano w najrozmaitszy sposób fakt niespodziewany i dziś jeszcze tysiące sądów kursuje w około. Niewtajemniczeni pytają ciekawie o przyczyny głośnego wypadku, a wielcy augurzy prowincyi naszej z miną fałszywych Katonów patetycznym głosem taki ogłaszają wyrok:

„Kierującego stanowiska w prasie poznańskiej nie zajmie nigdy ten, kto w przeciwniku politycznym uszanuje człowieka. Redaktor ściskający rękę koledze innej barwy nie budzi zaufania. Niech idzie! W Poznaniu niema dlań miejsca.“

Tak mówią augurzy, a mnie rumieniec pali na twarzy, że takie rzeczy opowiadać muszę. Przeczuwam, że koledzy z Warszawy i Galicyi uśmiechną się z niedowierzaniem, a przecież... przecież to prawda.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

* Jeszcze o książce p. Koźmiana. Jako uzupełnienie znakomitej odprawy K. Bartoszewicza, udzielonej osławionej „Rzeczy“ p. Koźmiana, przytaczamy poniżej ustęp z artykułów T. Romanowicza, zamieszczonych w najświeższych numerach „Słowa polskiego“. P. Romanowicz zdruzgotawszy sztuczne rusztowanie, na którem p. Koźmian opiera argumentacye swoje, taką wypowiada opinię:

„Wszystko to potrzebnem było p. Koźmianowi, gdy chciał swoim rodakom „wybić mrzonki z głowy“ i uzasadnić wobec nich swój program zrzeczenia się państwowej przyszłości. Program zgubny, samobójczy, mieszczący w sobie ostateczne *Finis Poloniae* — dowodzenie, jak to w pierwszej naszej pracy o książce p. Koźmiana wykazaliśmy, zupełnie błędne. Ale jeżeli to jest istotnie przekonaniem i wiarą p. Koźmiana — trudno mu odmówić prawa do głoszenia tych zasad pomiędzy rodakami.

Ale jaki cel, jaki sens ma podawanie tego wszystkiego europejskiej a szczególnie niemieckiej publiczności? Czy sprawa narodowa może jakikolwiek z tego odnieść pożytek — czy raczej nie musi ponieść szkody, gdy się o narodzie polskim takie „prawdy“ głosi i w opinii europejskiej rozpowszechnia? Czy jest gdzie na świecie naród, któryby swą politykę zasadzał na tem, żeby po szerokim świecie głosić, iż nie ma żadnej przed sobą politycznej przyszłości, iż nie jest żadnym czynnikiem politycznym, lecz jest tylko jakimś żywiołem etnograficznym, któremu do szczęścia starczy zachować swój język i obyczaj? Czy gdziekolwiek w świecie znajdzie się historyk, czy publicysta, któryby przed obcymi własny swój naród w tak przesadnie czarnem świetle przedstawił, jak to uczynił p. Koźmian w swojej *„autorisirte deutsche Bearbeitung?“* Wszystko, cokolwiek kiedy Bismarck w swoich najgwałtowniejszych mowach przeciwko Polakom powiedział — to wszystko znajduje zupełne potwierdzenie w książce p. Koźmiana — i Niemcy mają teraz wszelkie prawo zapytać, dla czego polska prasa tak się oburzała na zarzuty, jakie Bismarck Polakom czynił, skoro dzisiaj polski publicysta w książce, dla europejskiej publiczności przeznaczonej, zarzuty te najzupełniej potwierdza?“

* * *

* Wiktor Gomulicki. Zielony kajet. Szkice z ustronia. Warszawa. Nakład księgarni T. Paprockiego i S-ki, 1896, str. 212.

Rzucając może od niechcenia te szkice na papier, utworzył Gomulicki kilkanaście prawdziwych perełek poetyckich. Napisane piękną prozą, posiadają one, mimo całej swej urywkowości, cechę lekkich i wdzięcznych obrazków, czyniących wrażenie harmonijne i przyjemne. Są to obrazki wiejskie, z nad granicy pruskiej, z młynu, z łąk, z lasów, wspomnienia z czasów dzieciństwa, wizye ciche i jasne, senne odbicie dawnych rozmów z bliską autorowi osobą, Niną, ktorej pamięci ten zbiór został poświęcony. Czuć w tem smętną poezyę i zadumę, spowitą w sieć marzeń osobistych. W urywku p. t. „Czego nie rozumieją jaskółki i motyle“ rzecz dzieje się nad granicą. Z jednej strony płotu rośnie żyto krajowe, z drugiej — żyto niemieckie. Gdy we dwoje z Niną zbliżyli się do płotu, zapytano ich gromko: „Wy za granicę?“ Zrozumieli i stanęli, patrząc z zazdrością na jaskółki i motyle, które swobodnie przelatywały nad płotem.

* * *

„Dziady“. Lwowska księgarnia H. Altenberga puściła w obieg II. zeszyt „Dziadów“, ozdabiając tekst bardzo pięknemi ilustracyami Cz. B. Jankowskiego. Załączono do zeszytu II. dwie fotograwury, ilustrujące słowa:

Myśl dziwna! zawsze mi się zdaje,
Że ktoś łzy moje widzi i słyszy westchnienia,
I wiecznie koło mnie krąży na kształt cienia,

oraz dwuwiersz:

Upiór skoro wyszedł z ziemi,
Oczy na gwiazdę poranną wywrócił...

* * *

* Nowy przekład „Boskiej komedyi.“ Znany historyk literatury i krytyk p. Piotr Chmielowski podaje w „Gazecie Polskiej“ wiadomość, że p. Edward Porębowicz, znawca literatur zachodnich i wyborny tłómacz Calderona, Byrona, Leopardiego i trubadurów prowansalskich, wykończył już przekład pierwszej części „Boskiej komedyi“ Dantego. Z przekładu tego trzy pieśni podało „Ateneum“, a tłómacz ukończywszy pracę nad „Piekłem“ ma zamiar również dokonać przekładu „Czyśca“ i „Nieba“. Z próby ogłoszonej drukiem widać, że tłómaczenie p. P. jest nader dokładne, zachowuje formę oryginału, a nawet odznacza się jasnością i wysokiemi zaletami poetyckiemi. „Teraz — pisze p. Chmielowski — możemy mieć niepłonną nadzieję, że utwór Danta zostanie w całości przełożony tak, iż żadnemu z europejskich narodów nie będziemy potrzebowali zazdrościć posiadania tłómaczenia, stanowiącego zaszczyt literatury“. Potrzeba nowego przekładu tem bardziej nagląca, że poprzednie mniej szczęśliwie dokonane tłomaczenia Korsaka i Stanisławskiego są wyczerpane.

* * *

* Bronisław Gubrynowicz. Malarze Jana III. Lwów. Gubrynowicz i Schmidt, 1896, in 8-0, str. 23.

Autor na podstawie traktatu Jakóba Haura „O malarskich kunsztach“, wydanego w r. 1669, jako część dzieła „Skład albo skarbiec znakomitych sekretów o ekonomii ziemiańskiej“ charakteryzuje w krótkich słowach poglądy społeczeństwa szlachecko-polskiego w wieku XVII na malarstwo. Po tym małym wstępie p. G. podaje szczegóły o życiu i działalności cudzoziemców: Marcina Altomonte, Ferdynanda van Kessela i Aleksandra Franciszka Deportes'a, oraz Polaków: Semiginowskiego i Triciusza.

* * *

* R. H. Quick. Reformatorzy wychowania. Zasady wychowania nowoczesnego. Przełożył z angielskiego J. Wł. Dawid. — Warszawa, 1895, 8-o, str. 426.

Wykład rozpoczyna się od epoki odrodzenia, po której odziedziczyliśmy dotychczas jeszcze istniejący w naszych gimnazyach system klasyczny. Autor dalej podaje przegląd historycznych, zmieniających się ciągle z biegiem wieków pojęć wybitnych myślicieli o zadaniach wychowania, metodzie, jego zakresie, wykazuje, jak stopniowo rozwijał się pogląd na to, że należy uczyć nie słów, lecz rzeczy, że pedagog winien nietylko dawać swemu uczniowi pewien szereg wiadomości, lecz rozwijać jego umysł, serce i ciało, a na dziecko zapatrywać się, nie jak na maszynę, lecz jako na człowieka i zastosowywać swe postępowanie do jego indywidualnych właściwości fizycznych, moralnych i umysłowych. Książka obejmuje wykład poglądów na wychowanie: Sturma, jezuitów, Rabelaisa, Montaigne'a, Raticha, Rousseau'a, Basedowa, Pestalozziego, Frebla, Jacotota i Spencera. Rozdział p. t. „Wyniki“ kończy dzieło.

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Była artystka poznańska, p. Marya Paszkowska zasłabła nagle w czasie przedstawienia „Coriolana“ na krakowskiej scenie i zmuszona jest na kilka tygodni usunąć się od pracy dramatycznej. — Dramat Vossa pt. „Upadek lwa“ doznał w Warszawie chłodnego przyjęcia. — Kompozytor nasz Stojowski wystąpił z powodzeniem na sali Erarda w Paryżu. — P. Józef Krysta wydał we Lwowie następujące kompozycye muzyczne na fortepian: 1) Wspomnienie zmarłym poświecone, 2) Elegia. 3) Czar miłości, fantazya.

BŁĘDY JĘZYKOWE.

Ograniczyć się, tak jak płotem, ogrodzeniem, można tylko *czemś*, ale nie *na czemś*, albo *do czegoś*. Mówić więc należy: *autor ograniczył się kilku uwagami*, ale nie *na kilku uwagach*, albo *do kilku uwag*. Jest to niemczyzna: sich *auf* etwas beschränken. Nie należy też zapominać o równoznacznych czasownikach: *przestać*, albo *poprzestać na...*

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

I. Ka. W Niemczech istnieją trzy katedry języków słowiańskich: w Berlinie, Lipsku i Wrocławiu (prof. Brückner, Leskin, Nehring). W Królewcu jest tylko lektorat.

Panom Józefowi M., K. S., Żołnierzowi. Za uznanie dziękujemy serdecznie. Z uprzejmie udzielonych wskazówek skorzystamy chętnie. Liczymy na pomoc waszą w pracy nad dziełem zamierzonem, które niewątpliwie przyczyni się do uzdrowienia stosunków naszych.

Sigma. „Rzym“ Zoli już się ukazał w formacie książkowym. Recenzyę zamieścimy w jednym z najbliższych numerów.

Autorowi „Szarady“. Nadesłana szarada jest bardzo dowcipna, lecz mogłaby nas wprowadzić w kolizyę z prokuratorem. Dla tego korzystać z niej nie możemy.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28